

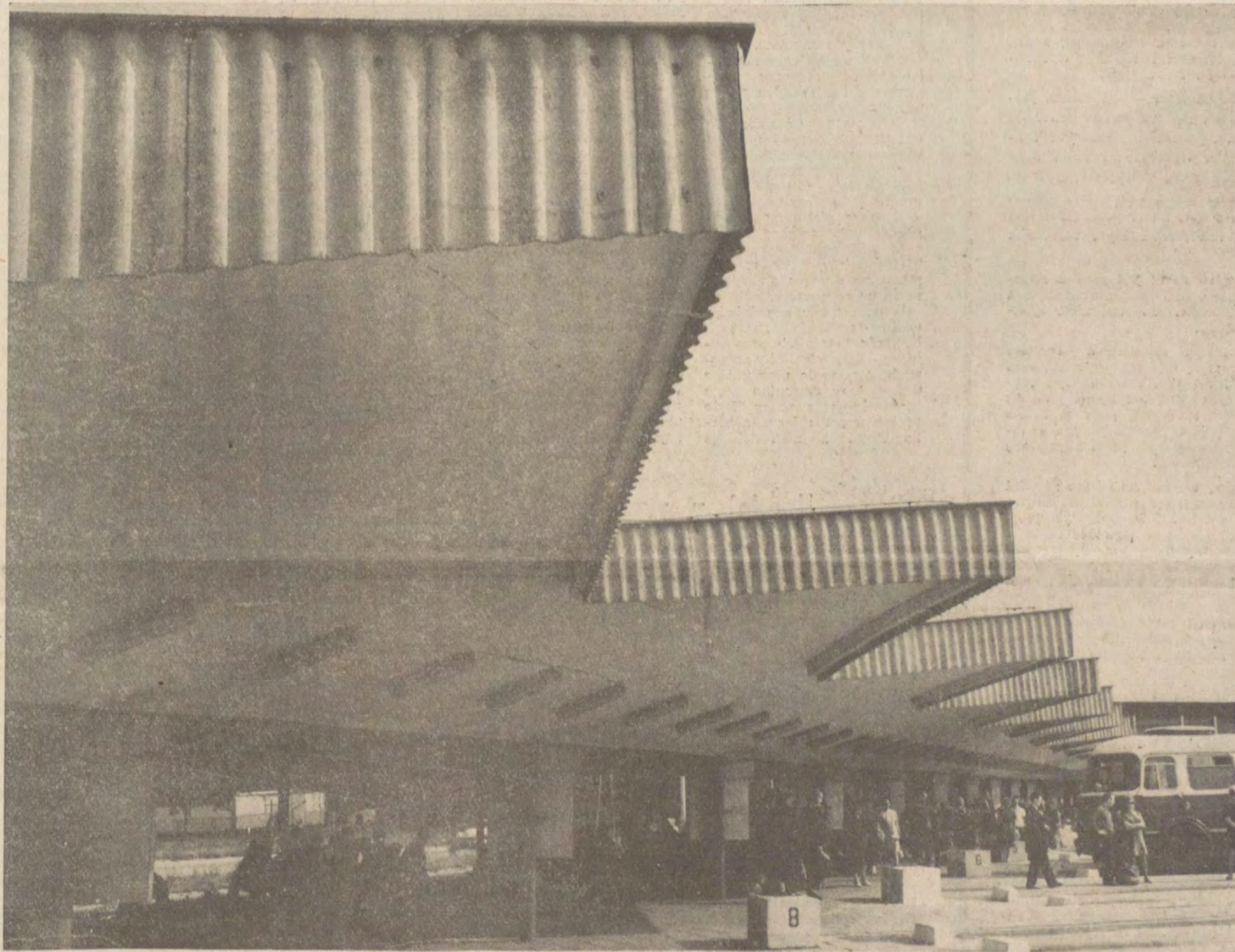
W numerze: JAN BĄBIŃSKI **Jeszcze o skrzydłach dla Łodzi** • KONRAD FREJDŁICH **Spocząć**
śród oraczy • ROMAN LOBODA **Czy tylko w ogrodzie?** • BOGUMIL PIJANOWSKI **Retrospekcja**
spoza krat • **Zewsząd o wszystkim** • **Konkurs** • **Nowela kryminalna**

odgłosy



25. X. 1970 r.
43 (675)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot.: W. Parys

CZY ZNASZ ARCHITEKTURĘ ŁÓDZI?

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

25 lat
Rozgłośni
Łódzkiej

NA DWIE GODZINY PRZED WKROCZENIEM ARMII CZERWONEJ NIEMCY WYSADZILI W POWIETRZE CZĘŚĆ GMACHU ROZGŁOŚNI ŁÓDZKIEJ, POD STACJĘ ELEKTRYCZNĄ I MASZT. WSKUTEK WYBUCHU ULEGŁY ZNISZCZENIU AMPLIFIKATORNIA I POKÓJ REŻYSERA. RESZTY DOKONAŁ POŻAR, KTÓRY POWSTAŁ NA SKUTEK ZAPALENIA SIĘ OLEJU W ROZERWANYCH TRANSFORMATORACH I DŁAWIKACH. W TEN PAMIĘTNY STYCZNIOWY DZIEŃ 1945 ROKU ŁÓDŹ OD ZYSKAŁA WOLNOŚĆ I STRACIŁA SWOJĄ RADIOSTACJĘ.

Podczas okupacji hitlerowcy nie nadawali programów z Łodzi, transmitowali je z innych rozgłośni, dlatego wszystkie wzmacniacze z amplifikatorni wywieźli znacznie wcześniej. Bez serca rozgłośnia — amplifikatorni, podstacji, reżyserni. Rozgłośnia była tylko kupą gruzów, z których sterczały pogięte konstrukcje stalowe, góra pokruszonych cegieł, pośród których leżały wraki rozszarpanych wybuchem przyrządów pomiarowych. Cement, wapno, cegły, żelazo i mroz. Właśnie ten mroz, który tak dał się we znaki technikom i inżynierom, odbudowującym Rozgłośnie, był decydującym czynnikiem, dzięki któremu odbudowa stała się mo-

żliwa. Na początku lutego technicy i monterzy z inż. Wacławem Gawrońskim na czele (przedwojennym projektantem zniszczonej radiostacji) w warunkach wojennych, przystąpili do pracy. Skrzętnie i pieczołowicie odszukiwali pośród zgłiszczy poszczególne części aparatury. Pracowali ile mogli, dopóki było widno i słońce starczało.

Rozgłośnia, a raczej Radiowęzeł Łódzki mieścił się od lutego 45 roku w budynku mieszkalnym przy alei Kościuszki 40 (aktualnie jest tam magiel). Było tam początkowo studio spikera i amplifikatornia. Program był emitowany przez głośniki uliczne.

Potrzebne maszyny i brakujące transformatory wykonali pracownicy fabryki „Elektrobudowa”. Ślusarze Zakładu Józefa Gajewicza remontowali maszt wysokości 60 metrów Robotnicy Zarządu Przedsiębiorstw Elektrotechnicznych wykonali dla amplifikatorni wzmacniacze. Firma „Hole” prowadziła roboty budowlane.

11 maja 1945 r. przystąpiono do prac nad montażem radiostacji. a 25 maja w Naczelnej Dyrekcji PR odbyła się konferencja, na której uchwalono, ażeby zwrócić się do Radzieckiej Misji Wojskowej z prośbą o przysłanie do Łodzi brakujące go sprzętu. Na dostawę lamp trzeba było jednak czekać dość długo, bo aż do września. Do tego czasu ukończono wszystkie roboty budowlane i montażowe.

1 maja 1945 roku Radiowęzeł powiększył się o dwa dodatkowe pomieszczenia na parterze budynku. Studio spikera z piątego piętra przeniesiono na dół. obok niego utworzono studio koncertowe, w którym występowali regularnie łódzcy, względnie przebywający aktualnie w Łodzi — soliści. W studio tym występowały także zespoły rozrywkowe oraz realizowano pierwsze słuchowiska z udziałem najwybitniejszych aktorów. W inauguracyjnym koncercie wzięła udział po raz pierwszy w Łodzi orkiestra mandolinistów pod dyrekcją Edwarda Ciukczy. Uwaga na marginesie: warto by ktoś zainteresował się pozostawionymi przez Edwarda Ciukczy materiałami. Znajdują się tam unikalne wiadomości, spisane ręką człowieka, który od 1934 r. na stałe związał się z Polskim Radiem, a po 1945 r. — z Łodzią i rozgłośnia łódzką.

Pierwszy program nazywany w historii polskiej radiofonii „programem wojennym” opierał się przede wszystkim na komunikatach z frontu, informacjach włączy miejscowej, często nadawanych w formie zawiadomień i komunikatów organizacyjnych. Był to typ programu ze znaczną przewagą informacji, z konieczności audycji prostych, nie skomplikowanych

Dalszy ciąg na str. 3



Pod koniec ub. tygodnia XXV sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ weszła w CZĘŚĆ JUBILEUSZOWĄ. Do Nowego Jorku, na 10-dniowe, związane z tym jubileuszem uroczystości, przybyło 14 szefów państw i 18 szefów rządów oraz 97 ministrów i wiceministrów spraw zagranicznych. Przez 10 lat, od pamiętnej sesji piętnastej, nigdy obrady nie zgromadziły tak wielkiej liczby czołowych polityków. Polskę na tej sesji reprezentuje delegacja z min. S. Jędrzychowskim, który wygłosił dłuższe przemówienie, oceniające działalność ONZ oraz przedstawiające nasze stanowisko wobec najważniejszych problemów międzynarodowych.

W ocenie dodatnio podkreślone zostały dwa fakty: wkład ONZ w trudne zadanie utrzymania światowego pokoju oraz w realizację zasady samookreślenia narodów i ich prawa do niepodległości. O pierwszym świadczą może zapobieganie światowemu konfliktowi, o drugim — rozszerzenie liczby członków ONZ z 51 w chwili powołania organizacji — do 127 obecnie.

ONZ podkreślił min. Jędrzychowski — nie zawsze jednak zdolną zapobiec wojnom, czy też przeciwstawić się jawnym aktom bezprawia. Tymczasem zachowanie i utrwalenie światowego pokoju wymaga nie tylko definitywnego odrzucenia perspektywy nowej wojny światowej, ale również pociągnięcia kresu wszelkim „wojnom lokalnym”. Każda bowiem z nich niesie potencjalne niebezpieczeństwo szybkiego rozszerzenia się i zagrożenia pokoju światu.

W chwili obecnej pilnym zadaniem jest pokojowe rozwiązanie konfliktu indochinejskiego i bliskowschodniego, a także przejście od negacji wojen do tworzenia systemów gwarantacji bezpieczeństwa.

W Europie istnieją możliwości zbudowania systemu zbiorowego bezpieczeństwa. Z tą myślą kraje socjalistyczne przedstawiały konkretny program zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji. Z pewnością nie będzie można poprzestać na jednym takim spotkaniu, potrzeba będzie ich więcej, aby przyniósł plon w postaci postępu w regionalnym rozrojeniu oraz pogłębieniu form współpracy między krajami naszego kontynentu.

Usuwaniu relikwii „zimnej wojny” służyć ma również zapoczątkowany proces normalizacji stosunków między krajami socjalistycznymi a NRF. Wazny, korzystny wpływ na sytuację w Europie może wywrzeć negocjowany obecnie układ między Polską a Niemiecką Republiką Federalną, czy też znormalizowanie stosunków między obu państwami niemieckimi na zasadzie całkowitego ich równouprawnienia.

Min. Jędrzychowski podkreślił także doniosłość wszelkich kroków, wyprowadzających świat z kręgu wyścigu zbrojeń oraz niezbędność likwidacji zacofania gospodarczego wielu krajów.

Przewiduje się, że jubileuszowa część sesji Zgromadzenia Ogólnego zakończona zostanie przyjęciem deklaracji, która podejmie główne problemy świata, a więc sprawy: pokoju, umocnienia bezpieczeństwa, międzynarodowej współpracy ekonomicznej, dekolonizacji...

Prace nad projektem deklaracji — piszą korespondenci z siedziby ONZ — przebiegają w atmosferze dużych sprzeczności, chociaż nie oczekuje się, aby dokument ten miał charakter szczegółowy. 24 bm. ma on być przedstawiony Zgromadzeniu Ogólnemu.

Z innych wydarzeń międzynarodowych odnotujemy przede wszystkim OPTYMISTYCZNY WYNIK wizyty prezydenta Francji — Pompidou w Związku Radzieckim. Uzgodnienie 10-stronicowej deklaracji francusko-radzieckiej, w której mowa jest m. in. o postępie w przygotowaniu ogólnoeuropejskiej konferencji, konieczności jak najszybszego wznowienia bliskowschodniej misji Jarringa, czy też, „bardzo zbliżonych” stanowiskach w sprawie przywrócenia pokoju w Wietnamie, jest ilustracją owego optymizmu. Ważne jest też nawiązanie do wspólnej deklaracji z 1966 roku (z okresu wizyty prez. de Gaulle'a) i rozszerzenie jej w zakresie wzajemnych konsultacji, które mają być przeprowadzane regularnie. Zdaniem niektórych obserwatorów tekst protokołu w tej sprawie jest nawet ważniejszy niż deklaracja.

Część prasy francuskiej nie ukrywa, że rezultaty radzieckiej wizyty Pompidou są lepsze niż oczekiwano. Wnosi ona bowiem ważne elementy do nasilających się tendencji odprężeniowych w Europie.

Oczywiście, tendencje te nie wszystkim dają powód do zadowolenia.

W ub. tygodniu pisaliśmy o pewnym optymizmie, jaki wyrażany był w NRF bezpośrednio po zakończeniu VI rundy rozmów między przedstawicielami Polski i NRF. Tymczasem zaistniały fakty, które POMYSŁNEMU PRZEBIEGOWI tych rozmów wcale nie służą. Chodzi tu o wypowiedź min. Scheela i deklarację parlamentarnej frakcji CDU-CSU. I w jednym, i w drugim wypadku, chociaż przy pomocy innych słów, właściwie próbuje się nadać taką interpretację projektowi układu z Polską, a zwłaszcza jego najważniejszej idei — potwierdzenia ustalonej w umowie poczdamskiej zachodniej granicy Polski — aby nie postawić przyszłowiowej kropki nad „P”. Celuje w tym zwłaszcza deklaracja CDU-CSU, choć skądinąd wiadomo, że nie wszyscy deputowani chadeccy przeciwni są definitywnemu potwierdzeniu w układzie istniejącej granicy.

Właśnie te fakty wskazują, jak trudno torują sobie drogę procesy, zmierzające do przekształcenia naszego kontynentu w kontynent pokoju i współpracy między krajami.

W. SŁAWSKI

● Zawszqd o wszystkim

● Zawszqd o wszystkim

Niespodziewany cios

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

W październiku br. w Centrum Lotów Kosmicznych w Huntsville, w stanie Alabama, miała się odbyć nie była jaka uroczystość. Oto niemieccy uczeni, wspólnie z amerykańskimi, zamierzali szumnie uczcić 25-lecie swego pobytu w USA. Należy wspomnieć, iż Amerykanie wywieźli ich w roku 1945 z rozgromionej III Rzeszy „jako drogiego trofeum” drugiej wojny światowej.

Znaczne okrojenie amerykańskiego programu kosmicznego i w związku z tym poważna redukcja personelu NASA nie zaniepokoiły ich ani trochę. Uważali bowiem swoją pozycję w ośrodku rakietowym za absolutnie pewną, tworząc trzon grupy uczonych, którzy wypuścili w kosmos pierwszego amerykańskiego satelitę Ziemi, oraz byli współautorami rakiet „Saturn-5”, która wyniosła na Księżyc amerykańskich kosmonautów.

W początkach września br. wielu spośród „naszych Niemców” jak ich nazywają w Stanach Zjednoczonych, otrzymało pisma, iż z dniem 1 października zostają zwolnieni z pracy. Było to jak grom z jasnego nieba. Część z nich dobiega

szesćdziesiątki, część już ją nawet przekroczyła i, praktycznie rzecz biorąc, nie ma już szans na znalezienie pracy w swojej specjalności, tym bardziej w okresie obecnych redukcji w przemyśle aerokosmicznym.

„Był to cios zupełnie niespodziewany. Nie byliśmy na to przygotowani” — mówi żona jednego z tych specjalistów niemieckich.

Gdy w roku 1945, von Braun a wraz z nim cały jego zespół konstruktorów rakiet, zatrudniony w Panemunde, dostał się do niewoli amerykańskiej, wysłano ich natychmiast do bazy wojskowej Fort Bliss (stan Teksas) w liczbie „cudzoziemców, dla których zrobiono wyjątek”. W roku 1950 twórców „V-2” skierowano do pracy w przemyśle zbrojeniowym, zaś w roku 1955 otrzymali już obywatelstwo amerykańskie. Po trzyletnim okresie próbnym stali się „pełnoprawnymi pracownikami państwowymi”.

Teraz wyrzucają ich, jak skorupy po zjedzonym jajku...

Były dyrektor Centrum Lotów Kosmicznych w Huntsville, Wernher von Braun, przeniesiony niedawno do Waszyngtonu na stanowisko naczelnika oddziału planowania NASA, nie skomentował tego ani jednym słowem.

Handel z zyskiem

W wywiadzie, udzielonym zachodniemieckiemu tygodnikowi „Kapital”, przedstawiciel rady nadzorczej znanej firmy „Krupp”, Baitz, opowiada się za dalszym rozszerzeniem kontaktów ekonomicznych pomiędzy NRF i ZSRR.

„KAPITAL” — DUESSELDORF

Pytanie: Panie Baitz, porozumienie radziecko-zachodniemieckie traktują Rosjanie nie tylko jako porozumienie o wyrzuceniu się siły. Ich zamierzenia idą w kierunku rozszerzenia handlu z Niemcami Zachodnimi oraz pogłębienia kontaktów handlowych i technicznych. Co pan o tym sądzi?

Odpowiedź: Uważam, iż Rosjanie są zainteresowani w rozszerzeniu kontaktów ekonomicznych.

Pytanie: Co da nam handel ze Wschodem?

Odpowiedź: Dochody. Moja firma zawsze nieźle zarabiała na handlu ze Wschodem.

Pytanie: Zawsze?

Odpowiedź: Zawsze. Dostarczaliśmy sprzęt chemiczny, lokomotywy, jak również i inne towary, i ani jedna transakcja nie była dla nas deficytowa.

Pytanie: Niektórzy ludzie mówią: rząd dąży do normalizacji stosunków politycznych z Moskwą, ale niewątpliwie uciurpi na tym nasza ekonomika.

Odpowiedź: To przecież bzdura! Nie ma takiej firmy handlowej, która by zawiązała transakcje tracące na tym. Także Rosjanie dobrze o tym wiedzą. Rozmowy handlowe prowadzą twardo, ale za to są niezwykle punktualni w spłacaniu należności.

Pytanie: Oznacza to, że

Rosjanie korzystają na handlu z Zachodem. A my?

Odpowiedź: A my zarabiamy pieniądze. Obok tego handel sprzyja polepszeniu stosunków politycznych.

Pytanie: Zatem, pańskim zdaniem, porozumienie o zakazie użycia siły stwarza szerokie perspektywy ekonomiczne?

Odpowiedź: Oczywiście. Widać to chociażby z tego, że nasz minister ekonomiki, minister ds. badań naukowych, jak również szereg wybitnych naukowców wyjeżdża do Moskwy. Rosjanie są zainteresowani w wymianie doświadczeń w dziedzinie naukowo-technicznej.

Pytanie: Czy zawarcie umowy handlowej pomiędzy Związkiem Radzieckim i Republiką Federalną uważa pan za konieczne?

Odpowiedź: Porozumienie handlowe, to właściwie tylko formalność, dokument. Sądzę zresztą, iż takie porozumienie powinniśmy zawrzeć, choć z drugiej strony i bez niego handluje nam się całkiem dobrze. Od roku 1963 obroty handlowe pomiędzy Republiką Federalną i Związkiem Radzieckim wzrosły dwukrotnie i wynoszą obecnie 3 miliardy marek rocznie.

Pytanie: Ale jednak w ciągu tych wszystkich lat Rosjanie kupowali w NRF tylko to, czego nie mogli im sprzedać inne kraje. Od za-

chodniemieckiego systemu telewizji kolorowej „PAL”, wołali francuski „SECOM” i nie „Volkswagen”, a „Fiat” buduje fabrykę samochodów w Związku Radzieckim.

Odpowiedź: A czy „Volks wagen” cniad podjąć się tej budowy? Gdy dyrektor naczelny tej firmy, Nordhoff, zapytano, czy nie zechciałby wybudować w Polsce fabryki samochodów, ustosunkował się do tej propozycji bardzo powściągliwie i odpowiedział krótko: „Niestety, na razie nie mamy takich możliwości”. A ja jestem przekonany, że gdybyśmy współpracowali ze Wschodem i wspólnie występowali na trzech rynkach, to, oczywiście, wpłynęłoby to na poprawę klimatu politycznego w Europie.

Pytanie: Przecież to właśnie zachodniemieccy politycy kategorycznie odrzucali taką współpracę z komunistami.

Odpowiedź: Tak, ale większość z nich nie miała nawet najmniejszego pojęcia o tym, co się naprawdę na Wschodzie dzieje. Dopiero teraz niektórzy przedstawiciele Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (ChDS) wyjeżdżają na przykład do Polski, żeby się czegoś dowiedzieć o tym kraju. Prowadzili oni politykę, nie wiedząc o tych lub innych krajach socjalistycznych. I oto wreszcie rząd Brandta stworzył koncepcję polityki ze Wschodem, wykazując przy tym maksimum energii i odwagi. Jestem przekonany, że obecnie oba rządy poważnie traktują ideę współpracy ekonomicznej.

Pytanie: Rosjanie proponowali już taką współpracę w 1963 roku, jednakże w Bonn przyjęto ją w milczeniu. Dlaczego obecnie zmienił się swój punkt widzenia?

Odpowiedź: Wyczerpałem wówczas wszystkie możliwości w dążeniu do nawiązania takich kontaktów. Wtedy to, w związku z jed-

ną z podróży do Moskwy, Adenauer podał nawet w wątpliwość moją prawomylność.

Pytanie: Jakież zdobycze techniczne Związku Radzieckiego mogą zainteresować zachodniemieckich przedsiębiorców?

Odpowiedź: Rosja może nam zaoferować różnorodny sprzęt specjalistyczny i dokumentację różnych procesów technologicznych. Na przykład „Krupp” prowadzi w tej chwili rozmowy w sprawie radzieckich licencji.

Pytanie: Eksportowe dostawy do ZSRR zależą jeszcze od radzieckiego importu. Co powinno uczynić Bonn, aby sprzedać Związkowi Radzieckiemu więcej towarów?

Odpowiedź: Rosjanie bez wątpienia mają ogromne plany. Powinniśmy im oferować długoterminowe kredyty. Jest to dla nich bardzo ważne, bowiem bazując na kredytach, mogą na szerszą skalę importować urządzenia przemysłowe.

Pytanie: Porozumienie pomiędzy NRF i ZSRR narodziło niektórych pańskich kolegów tak optymistycznie, iż wierzą oni w możliwość nawet dwukrotnego zwiększenia obrotu towarowego. Dziś na kraje obozu socjalistycznego przypada 4 procent naszego eksportu, ale krąży opinia, iż można by go zwiększyć do 8 procent. Czy, zdaniem pana, jest to realne?

Odpowiedź: Najzupełniej. Mogę dodać, iż firma „Krupp” przekroczyła tę granicę już kilka lat temu; część naszego eksportu do krajów socjalistycznych wynosi 9 do 14 procent. I gdyby członkowie zarządu naszej firmy zlecieli mi dalsze rozszerzenie handlu ze Wschodem, nie miałbym nic przeciwko temu. W przeciągu tych wszystkich lat nigdy nie ponieśliśmy strat, wprost przeciwnie — zawsze handlowaliśmy z zyskiem.

Spadkobiercy „SS”

„SPIEGEL” — HAMBURG

Czasami śpiewają, czasem kogoś pobijają, czasem postrzelać albo sprowokują burdę. Mowa tu o tzw. „porządkowych” czyli oddziałach ochrony NPD. Oni sami uważają siebie za „grupy bojówkowe, które przeszły specjalne przeszkolenie, są uzbrojone i odpowiednio wyekwipowane”...

Badając samo „sedno pracy” tych agentów NPD, przedstawiciel heskiego ministerstwa spraw wewnętrznych powiedział, iż wszyscy oni bez wyjątku są „lanckne chtami, lub półbandytami, dla których naruszenie prawa jest nie nie znaczącym drobiazgiem”...

Tak oto, w przeddzień wyborów rozbrzmiewają bojowe pieśni „ochrony”, tak niebezpiecznie podobne do tych, które ongiś śpiewały hitlerowskie bojówki.

Chociaż NPD nie udało się zająć miejsca w Bundestagu, to jednak ma ona 49 przedstawicieli w parlamentach sześciu krajów. Przygotowując się do nadchodzących wyborów do Landtagów w Hesji i Bawarii, prawica gromadzi siły do rozstrzygnięcia wojny „nie na życie, lecz na śmierć”. Przywódców NPD, biorących udział w kampanii przedwyborczej, będą ochraniać oddziały o „sił porządkowych”,



● Zawszqd o wszystkim

● Zawszqd o wszystkim

Trzy spektakle „na Tagance”

Coraz częściej — z taką samą niemal częstotliwością jak o MCHAT-cie, Mossowiecie czy Teatrze imienia Wachtangowa — mówi się i pisze w Polsce o mo skiewskim Teatrze na Tagance, którego wielka kariera rozpoczęła się od premiery, luźnej w stosunku do pierwowzoru literackiego, adaptacji „10 dni, które wstrząsnęły światem” Johna Reeda, wystawionej w przededniu 50 rocznicy Rewolucji Październikowej. Spektakl ten szeroko i chętnie opisywany — jest choćby z tego względu znany polskiej publiczności, ale jako jeden z tych, którzy przelamali niebywałe trudności związane z dostaniem się do teatru (który nie respektuje nawet zwyczaju rozprowadzania zaproszeń dla krytyków i recenzentów), mogą stwierdzić, że legenda, jaką obrosło przedstawienie nie jest bynajmniej przesadzona. Widziałem je po trzech latach od dnia premiery, na ostatnim przedsezonowym spektaklu i byłem świadkiem niebywałej wprost owacji jaką cierpliwa (czekająca przez wiele miesięcy na bilety) moskiewska publiczność przez tykana gęsto cudzoziemcami zgromadzonemu ulubionemu zespołowi — niczego podobnego nie udało mi się dotąd u nas zobaczyć. Przedstawienie „10 dni” w ciągu tych trzech lat nie zbliżyło, po zostało świeże, pełne młodzieńczego rozmachu, w dalszym ciągu ujmujące i porywa prawdziwym entuzjazmem, zadziwia prostotą teatralnej roboty. A oto kilka wrażeń, bardzo skrótych — aby nie powtarzać tego, co napisali już moi — przeważnie tak samo Taganką zachwyceni — poprzednicy.

Wszystko zaczyna się od próby stworzenia „teatru totalnego”. Na ulicy gigantofony, które ogłaszają wehodyzące do teatru widzów melodiami rewolucyjnymi, u wejścia dwaj marynarze, którzy oddarte od biletów kupony kontrolne nadziewają na długie sztyki karabinów, kręcący się w ciasnej poczekalni aktorzy przebrani w stroje marynarzy, żołnierzy, robotników z tamtych lat, a na koniec „rewolucyjne czastuszki” śpiewane z niebywałym wigorem w tym samym miejscu — wszystko to w istocie rzeczy jest dość naiwne, ale mimo to urzeka zadziwistością i zapalem. A potem — tak przygotowany widz ogląda sam spektakl. Adaptacji książki Reeda — lub raczej kompozycji scenicznej według tej książki dokonali Lubimow (kierownik artystyczny teatru), Dobronawow, Dobrowolski i Kaszewan, reżyserował również Jurij Lubimow. Zarówno adaptacja, inscenizacja jak i doskonale jej podporządkowana gra aktorska zrezygnowały z agitacyjności wprost, zrezygnowały prawie całkowicie z

wielkiego patosu. Na ścianach teatru, na widowni ukazują się od czasu do czasu fotografie Lenina „pod które” wielki wykonawca ról leninowskich, Maksym Sztrauch recytuje fragmenty rewolucyjnych przemówień Włodzimierza Iljicza. Wszystkie najbardziej patetyczne treści tego rewolucyjnego patosu — wyraża się tu przez pantomimę, wykonywaną przez trójkę aktorów, pantomimę sprawną, zawierającą kilka równie prostych co kapitalnych pomysłów (podświetlone od dołu, z podłogi ręce ubranej na czerwono dziewczyny, wyobrażające płomień). A poza tym na scenie dzieje się to co stanowiło społeczne i historyczne tło rewolucji, przypomina się nam jej burzliwy przebieg, jej ważne i mniej ważne, ale charakterystyczne fakty. Jest to spoisty, choć w różnych konwencjach rozgrywany ciąg obrazów, w którym równorzędnym ze słowem elementem jest świetnie zorganizowany ruch sceniczny, muzyka i piosenka — jest to rodzaj ludowego widowiska, całymi długimi okresami niesłychanie zabawnego, czasem ostro karykaturalnego, ale zawsze tak samo dynamicznego i przykuwającego uwagę widza. Oglądając „10 dni, które wstrząsnęły światem” zapomina się zupełnie o tym, jak ogromnie trudne zadanie — przedstawienie w atrakcyjnej formie treści prawie wyłącznie politycznych — postawił przed sobą ten młody zespół. Ta refleksja nasuwa się dopiero później — i to najlepiej świadczy o klasie młodych aktorów z Taganki, o klasie zespołu świetnie przygotowanego do zawodu, bardzo sprawnego, umiającego właściwie wszystko; wyraziście i przekonująco podawać tekst, śpiewać, tańczyć, grać na instrumentach. A przede wszystkim — ludzi związanych w pelen zapału kolektyw.

„Antyświaty” („Antymiry”) Wozniesieńskiego to spektakl poetycki, o którym się mało u nas mówiło, wystawiony jeszcze wcześniej niż „10 dni” w inscenizacji Lubimowa i reżyserii Piotra Fomienko. Byłem tym przedstawieniem raczej zawiedziony, choć potwierdziły się w nim wszystkie walory zespołu „Teatru na Tagance”. Zawód ten wynika więc z innych przyczyn. Wielokrotnie przekonywano mnie w Związku Radzieckim, że Andrzej Wozniesieński jest najwybitniejszym współczesnym poetą i nigdy w to nie mogłem do końca uwierzyć. Jest, oczywiście, w jego twórczości wiele strof porywających i bardzo pięknych, ale twórczość ta jest — dla polskiego czytelnika — zbyt mocno obciążona całą masą publicystyki, jej moralistyka jest zbyt prymitywna, a dydaktyka i tzw. wymowa polityczna — naiwna i uproszczona. Rodza

jem soczewki, w której skupiły się wszystkie wady i słabe strony poezji Wozniesieńskiego jest właśnie montaż „Antymiry” wystawiony na Tagance.

Teatralnie — jest to znowu „potok obrazów”, ale tym razem obrazów luźnych, nie podporządkowanych jakiejś wyraźnej naczelnej idei artystycznej. Znowu: piękna pantomima, świetnie śpiewane pieśni i piosenki, kilka bardzo prostych, ale jakże odkrywczych pomysłów reżyserskich. Ale tym razem nie ma klimatu, który by te elementy (a wystarczy ich przecież, aby powstało dobre przedstawienie) scalil, zebrał w monolit. I w związku z tym słuchamy ze sceny całego szeregu porządných, solidnych recytacji — solowych i zbiorowych, a właśnie fakt, że są one wykonywane z przejęciem i że z całą pewnością mają pewną

Leninowskie”, czy „Pieniądze”, widzimy obrazy tak świetne jak „Łaźnie syberyjskie...”.

I może dzięki temu, a przede wszystkim dzięki wysiłkom zespołu, dzieje się w końcu rzecz możliwa tylko w teatrze, w dobrym teatrze: wykonawcy grając wierne niedobry całymi partiami tekst — ratują spektakl, uprawdopodobniają go, odnoszą trudno wywalczony sukces.

Również poetyckim spektaklem — ale o klasie doskonałszym — jest przedstawienie „Poległych i żywych” („Pawszije i żywyje”) skomponowane przez D. Samojłowa, B. Gribanowa i J. Lubimowa w inscenizacji Lubimowa i reżyserii Piotra Fomienko. Spektakl ten poświęcony pamięci tych, którzy padli w latach Wojny Ojczyźnianej, a zadedykowany ocalonym, z kilku

prościej rzecz formułując — jest to montaż poetycki, taki, jakich wiele się ogląda przy okazji przeróżnych uroczystości „ku czci”. Ale na Tagance dokonano nobilitacji tego gatunku, lub raczej przywrócono mu jego dawną, wysoką rangę, a zrobiono to — jak to tam bywa — znowu w sposób najprostszy, bez wydziwiania i zagładania w pozorne głębie formalne. Jest w Związku Radzieckim wielka, ciągle rosnąca liczba pozycji poetyckich i prozatorskich, mówiących o wojnie i o tych, którzy w niej polegali, są życiorysy żołnierzy — czasem zwykłe, czasem bohater-skie, „Poległych i żywi” to spektakl, który powstał z połączenia poezji i małych fragmentów wojennej prozy z żołnierskimi życiorysami. To bardzo proste połączenie dało fascynujące rezultaty, poezja, literatura, niejako nobilituje artystyczne skrawki autentycznego życia, autentyzm zaś życiorysów pozwala sąsiadującej z nim poezji na bardzo silne w połączeniu tym działanie: rzadko kiedy ma się tak wyraźne uczucie prawdziwości poetyckich strof, rzadko kiedy tak silnie zdajemy sobie sprawę z faktu, jak ważnym dokumentem epoki może być właśnie poezja. Szczególnie przejmująco brzmi to wtedy, kiedy stykamy się ze strofami wierszy młodych poetów radzieckich i ich życiorysami, życiorysami 20-letnich żołnierzy poległych w latach wojny. Wtedy właśnie, w momentach tych autentycznych wzruszeń w nieunikniony sposób przychodzi banalna z pozoru refleksja — myśl o tych wszystkich, którzy tytu rzeczy mogli dokonać i którym na to nie pozwolono. Wydaje mi się zresztą, że spektakl chce wywołać właśnie tego rodzaju wzruszenia i refleksje, twórcy spektaklu bardzo silnie sugerują, że inne, mniej proste, wymyślne potraktowanie tematu byłoby rodzajem nietaktu wobec jego powagi i ważności.

Realizacja jest tu niemal tak samo prosta, jak ogólne założenie artystyczne. I tylko w przypadku tego właśnie przedstawienia raz i błędna dla mnie była niezbyt logicznie wprowadzona pantomima. Natomiast pieśni i proste, żołnierskie piosenki — jak zwykle po mi strzowsku wykonane — stanowią jeden z najbardziej ważkich elementów „Poległych i żywych” — w tym kontekście brzmią jak songi, jak lamenty żałobne.

Można by wiele powiedzieć o aktorstwie Teatru na Tagance. Nie jest ono, oczywiście, tak dojrzałe, ale też i nie tak konwencjonalne jak to, z którym możemy się spotkać np. u Wachtangowa. Ale przy swej żywiołowości jest to aktorstwo — jeśli się weźmie pod uwagę bardzo niską przeciętną wieku zespołu — tak sprawne i wszechstronne, że patrząc na poczynania naszej młodzieży aktorskiej — można tylko szczerze zazdrościć. Zespół Teatru na Tagance pracuje kolektywnie, bez gwiazd i gwiazdorów, nie mogą się jednak powstrzymać, że nie wspomnieć o naprawdę świetnym aktorze, ulubionym pieśniarzu Moskwy — Andrzeju Wysockim. Widziałem dwie jego „czarne” kreacje — Hitlera i Kiereńskiego, i obie były, doprawdy, najwyższej klasy.

Wizyta w Teatrze na Tagance — w dobie, kiedy błądzimy po manowcach wymyślnych poszukiwań formalnych — działa niezwykle odświeżająco i przypomina, że jedną z największych wartości prawdziwej sztuki jest zawsze prostota.



ranę artystyczną — jeszcze bardziej uwypukla słabości tworzywa. Najbardziej zaś denerwujące są publicystyczne uproszczenia w takich tekstach jak „Rock-and-roll”, „Strip-tease” czy „Monolog Marilyn Monroe”. Ale przecież — obok nich spotykamy teksty wielkiego formatu takie, jak „Wiersze

względów wydaje się być ewenementem artystycznym. Najmniej, oczywiście, ważny jest fakt, że ten poetycki spektakl trwa — u nas nie do pomyślenia — pełne dwie godziny i ani na chwilę widza nie nudzi. Istotniejsze byłoby pewnie zastanowienie się nad rodzajem scenicznym tego widowiska. Naj-

25 lat

Rozgłośni

Łódzkiej

Dalszy ciąg ze str. 1

technicznie. Trzeba jednak podkreślić z pełnym szacunkiem dla ówczesnych twórców ambitne pozycje, realizowane mimo niesprzyjających warunków technicznych, jak na przykład kablowne do Warszawy 30 września 1945 r. słuchowisko pt. „Fie-gle Falstaffa”, oparte na motywach Szekspira, w opracowaniu radiowym i reżyserii Tadeusza Łopalewskiego, w którym po raz pierwszy po wojnie wystąpił przed mikrofonem Polskiego Radia Aleksander Zelwerowicz. Audycje umuzykalniające prowadził Karol Stromenger z pożyczanych od znajomych płyt, gdyż płyt Rozgłośnia nie posiadała. Zdarzało się i tak, że audycje trzeba było odwoływać, gdyż w drodze do Radia płyta w tramwajowym ścisisku pękła.

Warto wspomnieć także i o spikerach, którzy przewinęli się w tym okresie przez

studia Radiowęzła i Rozgłośni. Spikerowa li początkowo śpiąc z konieczności w studio: Jadwiga Cedrowska, Zdzisław Suwałski, Jeremi Przybora, Feliks Bąbol. Nieco później przybyli z Lublina Igor Sikiryci i Zbigniew Lutogiewski.

29 września radiostacja rozpoczęła próbne prace z wynikiem dodatnim. W tym dniu po raz pierwszy po sześciu latach odezwała się „Łódź”.

Obok odremontowanej aparatury nadawczej odbudowano pomieszczenia dla obsługi technicznej, wydziału programowego, pokój reżysera oraz cztery studia: wielkie studio koncertowe objętości 1200 m sześć, z którego nadawano nie tylko koncerty na antenie ale i dla publiczności, studio kameralne 250 m sześć oraz dwa mniejsze: odczytowe i spikerowskie. Warto dodać, że taki sam stan posiadania ma aktualnie Rozgłośnia Łódzka, te same studia, te same pomieszczenia techniczne i programowe.

21 października Łódź włączyła swój na

dajnik o mocy 10 kW na fali 224 metry.

W roku 1948, po przeszło dwu i półletnim pobycie, opuszczając Łódź w ślad za centralnymi instytucjami państwowymi, organami administracji państwowej, ludzie, którzy sprowadzili twórczy ferment do naszego miasta, który wywarli piętno także i na radiowej twórczości. Zostali tylko ci, którzy się najbardziej z Łodzią związali, którzy tu znaleźli „stół do swojej pracy”, ci, którzy nie chcieli zostawiać tego, co stworzyli, co odbudowali. W Radzie także znaleźli się i tacy, którzy nie opuścili tej, co powstała z gruzów, z nie wymiennego niczym zapału i poświęcenia bliżej nieznanych, a jakże często i w rodzimym Radio zapomnianych, starszych już wiekiem techników.

Dla nich to przede wszystkim 21 października czterostunowym akordem zabrzmiał sygnał Rozgłośni Łódzkiej. Sygnał, który towarzyszy nam, naszemu miastu 25 lat.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Na pytanie — jakie jest najbrzydsze miasto w Polsce, każdy Polak ma gotową odpowiedź, lodzianinowi nie trzeba wyjaśniać, jaka. Jeśli to samo pytanie postawić w Wielkiej Brytanii, odpowiedzą: Glasgow. To nie jedyna analogia pomiędzy Glasgowem a Łodzią. (Użyta właściwie forma „Glasgowem” nie jest może najlepsza, ale Polacy mieszkający w Szkocji tak właśnie tę nazwę od mienią, nierzadko określając to milonowe miasto „Glasgowkiem”). Szczycił się Glasgow do niedawna tym, że był co do wielkości drugim miastem Królestwa. A więc podobnie jak Łódź w Polsce mówią co prawda, że ostatnio Birmingham zanotowało o 24 tysiące mieszkańców więcej niż Glasgow. Nie jest to jednak wiadomość zupełnie pewna, a w każdym razie mieszkańcy Glasgow udają, że o tym nie słyszeli. Trzeciej analogii można by się dopatrzeć w przemysie bawelnianym, który odegrał określoną rolę w obu tych miastach i na tym chyba analogie się kończą. Są jeszcze kontakty Politechniki Łódzkiej ze Strathclyde University w Glasgow i filatelistów łódzkich z tamtejszymi.

Powstało to miasto w miejscu, gdzie wstawił się cudami św. Mungo, gdzie zmarł i gdzie jego szczątki złożono w kamiennym sarkofagu. Św. Mungo wstawił się wielu cudami, z których jeden pozwole sobie przytoczyć. Otóż w czasie jednej ze swych podróży zatrzymał się na czas pewien w klasztorze, w którym płonął święty ogień. Pewnej nocy św. Mungo pełnił straż przy ogniu i, że jednak miał naturę ludzką, usnął i dopuścił do tego, że ogień zgasił. Rankiem zebrał się bractwo wokół wystygłych popiołów i patrzyli z wyrzutem na niefortunnego gościa. Mungo bardzo wziął do serca swoje niedbalstwo, podszedł do oszronionego drzewa, ułamał gałąź i począł na nią chuchać. Ku zdumieniu bractwa z galezi poszedł dym a następnie zapłonęła wesoły płomień i św. Mungo ogień rozgorzał na nowo.

Szczątki św. Mungo spoczywają do dziś w obszernej krypcie pod kościołem katedralnym, podobno założonym przez glosowskiego patrona. Krypta i cały ko-

ściół stanowią piękny zabytek wczesnego gotyku, ale to dlatego tylko, że romański budynek wzniesiony, być może, w r. 543 spalił się. Przy okazji jakichś robót ziemnych znaleziono sporo odlamków ścian, kawałków rzeźb, fragmentów okien autentycznie romańskich. W kościele, który dotrwał do dziś, a więc gotyckim, brak jakichkolwiek rzeźb i ozdób. Fakt ten ma swoje wyjaśnienie w fanatyzmie okresu reformacji. Tłum niszczył wtedy wszystko, co mu przypominało papieżstwo. Toteż jeżeli Wielka Brytania ma mnóstwo świetnie zachowa-

rosło więc wokół katedry miasto z czarno-brązowego kamienia, a rozciągało się w kierunku mostu wzniesionego na pływaczach rzeki Clyde. Ciągnęło ku rzece, bo rzeką niedaleko do morza, bo rzeka dawała łososi, którymi można było zaspokoić głód. Aż przyszedł okres gwałtownego rozwoju. Było to wtedy, kiedy odkryto drogę na Zachód, do Ameryki. Okazało się, że można było robić znakomite interesy na imporcie tytoniu. I oto w wyniku walki między konkurentami zostało się kilku — jak ich nazywano — „tabacznych lordów”, których bo-

sama bawelny. Był to materiał bardzo wówczas na rynku potrzebny i oto po dwóch epokowych wydarzeniach jakimi było pojawienie się „tabacznych lordów” i ich upadek, przyszedł czas na trzecie: królowie bawelniani dali miastu nowy prze-

mysl i zamożność. Oczywiście wszystkie te przemiany gospodarcze wiązały się ściśle z rzeką Clyde, którą w międzyczasie pogłębiło, uregulowano, zamieniono w kanał, po którym poczęły przepływać do miasta duże statki morskie. Jeżeli dzisiejszy Glasgow jest cały w przebudowie, to to ustawiczne budowanie i przebudowywanie charakteryzowało miasto od dawna. Nie wiem kiedy powstała poniższa anegdota, ale znalazłem ją w zbiorze starych opowiadań szkockich.

Dwaj Szkoci, robotnicy portowi spotykają się po dwóch latach niewidzenia. Najpierw rozmawiają o sobie, a następnie o wspólnych znajomych.

— A nie wiesz, co się dzieje z tym wesołym Jockem O'Kay?

— O, nie żyje biedaczek. Młot parowy zgniłł mu piersi.

— Biedny Jock... Zawsze miał takie słabe piersi.

Do wydarzeń anegdotycznych należy też chyba zaliczyć poniższe wydarzenie, zanotowane gdzieś w początkach XIX wieku. Czeladnicy tkaczy zaskrajowali na znak protestu przeciwko temu, że karmiono ich codziennie... łososiem. W następstwie strajku władze wydały zarządzenie, mocą którego wolno było podawać czeladnikom łososia tylko 3 razy w tygodniu. Zresztą — ostatnią rybę tego gatunku złowiono w rzece Clyde w roku 1887. Wodzą się one dać, ku północy.

Mówiąc o największym z miast szkockich, należy chyba wspomnieć o rzeczy tak bardzo szkockiej, jaką szkocka whisky. Na terenie całej W. Brytanii sam przymiotnik „szkocka” oznacza właśnie ten aromatyczny napój, który Anglosi si tak bezbożnie psują wodą sodową. Podobno na jednym z zebrań przedwyborczych w Glasgow wystąpił pewien Irlandczyk i powiedział: „Pa nowiel! Jestem Irlandczykiem i jestem dumny, że płynię we mnie krew irlandzka, ale nie wstydzę się do-

ść, że mam też w sobie kroplę szkockiej”. Nie rozumiem, czemu szkockie aurytorium przyjęło to oświadczenie śmiechem.

Udało mi się zwiedzić destylarnię whisky firmy Ballantine, leżącą nieopodal Glasgow w miejscowości Dunbarton. Destylarnia leży tuż obok malowniczego zamku Dunbarton Rock, z którego Maria Stuart, „królowa Szkotów” uciekła w roku 1548 do Francji. Obywatelowi kraju kwitnącego pomiędzy Odrą a Bugiem nie trzeba objaśniać, jak się robi napój o specyficznym zapachu, służący do zalewania tzw. robaka. Osobliwością produkcji whisky jest to, że po wyprodukowaniu wódki z ziarn kukurydzy, czy jęczmienia, zlewa się ją do dębowych beczek i odstawia do uformowania w kształt niskich baraków — składów, gdzie napój leżakuje od 7 do 30 lat. Praktycznie — około 12 lat. Po tym okresie beczki wlewa się na najwyższe piętro i zlewa do zbiorników, skąd przewodami trunek popłynie do aparatów butelkujących. Jednakże żadna destylarnia nie wypuszcza w świat napoju wyprodukowanego wyłącznie u siebie. Ta jennicza firmy Ballantine jest recepta, według której miesza się 42 gatunki whisky własnej i zakupionej u innych producentów. Natomiast zupełnie niewykrytą tajemnicę stanowi fakt, że whisky wyprodukowana np. z kukurydzy, w takich samych aparatach, na tej samej wodzie w Dunbarton czy w Stepps ma różny smak.

Produkuje się w Szkocji około 200 gatunków whisky, wiele z nich w Glasgow i okolicy. Na początku niniejszego reportażu doszukiwałem się analogii pomiędzy Glasgow a Łodzią. Być może, że następna leży w. nie wylewaniu za komin. Szkocki lubia swoją „szkocką”. Dla przeciwwagi — coś o wielkich glosowskich, którzy z całą pewnością nie nadużywali napojów wyskokowych.

Tu na wydziale fizycznym Uniwersytetu pracował James Watt, człowiek, który stworzył maszynę parową w jej dzisiejszej postaci. Po czątkowo wykorzystaną do pompowania wody z podmiejskich kopalń węgla, później zaś na rzece Clyde zbudował pierwszy statek parowy.

Inny wielki obywatel Glasgow to John Logie Baird, wynalazca telewizji. Studiował on inżynierię elektryczną w Królewskiej Szkole Technicznej a następnie na Uniwersytecie w Glasgow. Na pomysł przesyłania obrazów na odległość wpadł już w roku 1924. Eksperymentował we własnym mieszkaniu, ale go przezorna gospodyni wyrzuciła. Wówczas jedna z firm elektrotechnicznych dała mu do dyspozycji piwnicę. I już w następnym roku zademonstrował on pierwszy na świecie telewizor w czasie wystawy w Selfridges. W roku 1927 przeprowadził eksperyment transmisyjny pierwszych obrazów z Londynu do Glasgow. Baird jest też odkrywcą telewizji kolorowej i stereoskopu.

Działając w Glasgow dwie wyższe uczelnie: Glasgow University oraz Strathclyde University, będący zgodnie z naszą terminologią — politechniką. Ta właśnie politechnika dzięki staraniom sekretarza Szkocko-Polskiego Towarzystwa Kulturalnego, mgr Z. Pachonńskiego podjęła z Politechniką Łódzką umowę dotyczącą wymiany naukowców oraz wspólnej pracy nad tymi samymi tematami. Współpraca trwa już kilka lat.

Glasgow jest w tej chwili miastem rozkopanym i budującym się. Nad rzeką Clyde powstał już piękny nowoczesny węzeł komunikacyjny, od którego pódją za planowane rozgałęzienia przez miasto. Są one już w budowie, znaczą się kilkoma nastrometowymi wykopami, bezlitosnymi wyburzeniami starych domów. Dookoła Glasgow powstają miasta satelitarne, pomyslane jako miejsca zamieszkania dla pracowników glosowskich instytucji. Odwiedziłem jedno z nich, mianowicie Cumbarnauld. Jest to urbanistyczny majstersztyk, którego główne założenia są na stopniach. Miasto składa się z szeregu osiedli mieszkaniowych odpowiednio wyposażonych. Każde osiedle jest pasem zieleni, poza którym biegną drogi jezdne. Osiedla pomiędzy sobą połączone są mostami biegnącymi ponad drogami. W ten sposób można pieszo przejść wzdłuż i wszerz przez całe miasto i ani razu nie znaleźć się na jezdni.

JERZY URBANKIEWICZ

Idiosynkrazja do łososi

nich starych budowli, to w kościołach brakło rzeźb, a te, które jakoś przetrwały, mają poutracane nosy.

Szczycił się Glasgow Uniwersytetem — od 1451 r. Za chował się jeden dom z XV wieku. Inne budowle pamiętają zaledwie wiek dziewiętnasty a reszta jego tak długi przeciw historii gdzieś zniknęła, lub znalazła schronienie w muzeach. Dlatego tak się stało? — Być może przyczyna leży w materiale, z którego miasto budowano. Zalegają w pobliżu skały o brązowym odcieniu. Cieto z nich bloki i układano ściany. Rychło jednak kamienne fasady poczęły ciemnieć, niejednolicie przecież i jeżeli dziś spojrzeć na ulicę obudowaną takimi domami, albo na osiedle jednakowych czynszówek, to odnosi się wrażenie, że właśnie przeszedł pożar przez miasto i zostawił czarne smugi na brązowych ścianach.

gactwo nie pozostało bez wpływu na okazałość miasta. Sprowadzali tytoń z Wirginii, Północnej Karoliny i Marylandu, budowali może niepiękne, ale duże domy, nosili czerwone ubrania i biczami odganiaли pospólstwo, jeśli im zastępowało drogę. Oczywiście przy nich pożyli się też inni, pojawiły się pierwsze nieśmiałe początki przemysłu lniankiego, a ten wymagał barwników, więc się rozwinęło farbiarstwo i chemia.

Ale wojna secesyjna w Ameryce zniweczyła bogactwo „tabacznych lordów”, miasto bez entuzjizmu poczęło interesować się swoim lnianym przemysłem. A już w XVIII w. importowano niewielkie ilości bawelny, tyle że nie umiano z niej wyprodukować niczego atrakcyjnego. Aż nagle tkacz, James Monteith, który dodawał nieco bawelny do lnu, odkrył sposób robienia hinduskiego muslinu z

nie waham się nazwać Przybosią jednym z największych polskich poetów XX wieku, a myśl mam już jasną, nie zmacną żalobą. Przed Nim, odnowicielem narodowej poezji, nie ma w naszym stuleciu nikogo, bo nawet Leśmian nie dorównuje Mu potęgą wyobraźni. Więc teraz, odkąd znieruchomiał, jest nad Nim jeden tylko szczyt Patra w Gwoźnicy, sterzący wioskowi pagór, któremu przed laty powierzył poetycki testament:

„Niech kolebka mojego wzroku, szczyt Patra, położy mi na oczach swój widok mogiły”.

I przypomniał się od razu werbet Norwida z „Promethidiona”: „Słowo jest czynu testamentem”. Pojechaliśmy ten testament wykonać, zwrócić poetę Jego rodzinnym stronom.

1.

„BYŁEM TYŁE, ILE BIEGŁEM!”

Mylili się. Nie bieg — to był lot. Wysoki, podniebny. A przecież kiedy to pisał, wiosną 1943 w rodzinnej Gwoźnicy, niewyczerpana wyobraźnia wznosiła myśl na szczyt polszczyzny i „słowo w słowo wschodziło słońce”.

I wiem, że to słońce nie znajduje nigdy, wiecznie jasne, choć 6 października 1970 roku Julian Przybosi odszedł od nas na zawsze; zmarł w fotelu słuchając wiersza recytowanego przez Annę Posner. Do ostatniej chwili towarzyszyło Mu słowo poetyckie.

Tak odchodzą tylko najwięksi i

Nie wiem teraz jak to się stało, że miałem to niezastąpione szczęście znać Przybosię osobiście. Znacznie wcześniej, tuż po zdaniu matury, poznałem Jego wiersze. Nigdy niczyja twórczość nie zrobiła na mnie silniejszego wrażenia: ta poezja mgnieniem oka obejmująca cały wszechświat i jego środek — zagon rodzinnej ziemi.

Wzrok miał przenikliwy, świdrujący a jednocześnie jasny, pogodny. Przypominam, słysmy Nowym Światem. Strzęp wspomnienia: nie miłosiernie piekło słońce. Przybosi ubrany w szarą, sportową koszulę z podwiniętymi rękawami. Zaprosił mnie do swego mieszka-

nia na Górskiego. Pokoik przegrodzony regalem.

Szczodry w wierszach, był szczodry także w przyjaźni. Starał się mnie, początkującego wtedy poetę, osmielić, pokierować rozmową, ale tak dyskretnie, że zupełnie tego nie zauważyłem. Taki sam takt cechuje Jego listy, ale przecież, gdy je teraz odczytuję na nowo, widzę, ile potrafił w nich z siebie dać, po ojcowsku bezinteresowny, poetycko przenikliwy.

Nie kończący się dialog o poezji. Powinienem notować. Przysłał później list odpowiadający na moje wątpliwości: „Mnie zdarzało się, że nie pisywałem długo (czy zresztą się wiersze pisze?, zapisuję się je tylko, gdy się w nas ukształtowały), ale nigdy nie bywało tak, żeby jakiś wiersz nie zaczynał się i nie formował w mojej — jak to nazwać — głowie czy sercu. Nigdy nie opuszczało mnie marzenie twórcze, zawsze byłem w stanie „łaski poetyckiej”.

To prawda, tworzył do ostatka, wciąż z siebie niezadowolony, odkrywając na nowo znaczenie słów, powątpiewając i odzyskując wiare, świadomy tego, co zrealizował a jednocześnie świadomy tego, co jeszcze powinien zrealizować. W miniaturze „Ars longa” napisał: „Lecz wątpię o swojej sztuce, czyni się akt wiary w wyższą, nie osiągniętą doskonałość sztuki, o której przystawie mówię, że jest dłuższa niż życie”.

Wszystko, co się dla Niego liczy, jest w Jego wierszach, bezpośrednio, w rozmowie, zwierzał się rzadko, po chłopsku wstydyliwy, świadomy, że są na świecie rzeczy ważniejsze, o których warto i powinno się mówić.

Nigdy tego nie zapomnę: roz-

minęliśmy się i czekałem na Niego w szpitalnym ogrodzie. Nadechdził od ulicy zatrzymując się i rozglądając, jakby dziwiąc się wiosnie, bo wiosna zawsze miała dla Niego znaczenie szczególne, co roku przetwarzał ją w wiersz. Nie przypuszczałem, że to Jego wiosna ostatnia.

Kiedy mnie dostrzegł zrobił gest, jakby chciał odrzucić łaskę, pierwszy raz widziałem go z łaską. Ale zaraz się opanował, zaczął nawet podskakiwać na alejce, śpiewając dla niepoznaki „Oj dziadu, dziaduleńku” obracając swoją chorobę w żart. Nigdy Go nie widziałem w równie żartobliwym nastroju, w pokoju na górze śmiesznie wykrzywił usta: „A co, wykrzywiło mi głowę?”. Później nieoczekiwanie spowaźniał, mówiąc wolno, starannie zaznaczając przestanki, nie mówił, tylko nieśmiało domie dyktował, nie spostrzegł, że właściwie dyktuje.

W domu zapisałem z tego zapamiętanego monologu cały zeszyt.

2.

„SMIERCI NIE MA, JEST TYLKO ŻYCIE DO OSTATKA”

Wyjałem to zdanie z listu zaopatrzonego w datę: 28 lutego 1962 r. Śmierci nie ma, w Rzeszowie na placu przed gmachem Prezydium w ciężkim, przyniatającym milczeniu stoi zbity tłum ludzi czekając na samochód, który przywiezie trumnę, Jego trumnę.

Jego oczy patrzą na ten plac z ogromnej fotografii umieszczonej na froncie budynku: są nienaturalnie wielkie, ale po daw-

nemu pogodnie i tylko jakby odrobinę zdziwione.

Choć to październik, z nieba przejmujący żar.

Mikrofony, kamery, flesze. Z głośnika zniekształcona „Sonata h-moll” Chopina, trzecia część, „Marche funebre”. Zespół orkiestry detej dyskretnie lokuje się w rogu placu, przy samochodach radia i orkiestry.

„Wyjazd do miasta — napisał Przybosi o Rzeszowie w jednym ze swych nielicznych wyznań uczynionych prozą — do gimnazjum, spowodował w moim świecie pastucha wiejskiego tak gruntną przemianę, że na pewien czas zapomniałem o wierszach (...)”.

Stara kobieta z dzieckiem na ręku wpatruje się w portret. „Popatrz, mów do wnuka, to On, jak żywy, jak żywy”, powtarza. Wierszniczka z Gwoźnicy? „Co Go miałam nie znać? odpowiada, po esziedku nam było w czasie cku pacji, od Jego żony odkupiłam piasecz, bo oni głodowali, kupili sobie jedzenie”.

Tłum na placu wciąż gęstnieje, aby później gwałtownie się rozzerzeć: nadejżda ciężarówka bez burt, z nakrytym czerwonym suknem katafalkiem. Właściwie nie nadejżda: wsuwa się w tę ciżbę i także nierzuchomieje. Trumna przesłania mi na chwilę słońce. Szaro-zielona, metaliczna, obla-

„Śmierci nie ma, jest tylko życie do ostatka”, powtarzam Jego zdanie. To nie pogrzeb, to ostatni, pożegnalny już „poranek autor skri”. Za życia do tak wielkiego zgromadzenia nie przemawiał nigdy: skamandrycy okrzyknęli Go trudnym, krytycy okresu schematyzmu poetą hermetycznym, ale



JAN BABIŃSKI

Jeszcze o skrzydłach dla Łodzi

Po opublikowaniu w „Odgłosach” mego artykułu pt. „Ołbrzym bez skrzydeł” znajomi pogratulowali mi, sam nie wiem dlaczego, odwagi i zaraz też zaczęli mrugać lewym okiem. Postulat jest słuszny, lotnisko jest Łodzi potrzebne, ale czy to pomoże? Odpowiadając, że lotnisko to nie nowy bar mleczny, czy jeszcze jeden przystanek tramwajowy na Narutowicza, by tak skomplikowany problem można było załatwić od

ręki. To musi oczywiście potwarać. Najważniejsze, by coś wreszcie w tej sprawie zaczęło się poruszać, coś działać. A jeszcze i to, że brak portu lotniczego jest czymś tak samo dziś degradującym, jak ongiś brak dworca kolejowego.

Potem opadły mnie wątpliwości. Może istotnie winieniem podążyć raz wytkniętym tropem i w imię konieczności większego powiązania Łodzi z nurtem współczesnego życia wybadać rzecz u źró

dła? Tym bardziej, że rozeszły się słuchy, jakoby ta kwestia była na jakimś tam szczeblu wentylowana i z tego względu zapadła, być może, pomyślna dla miasta decyzja. Niestety, to plotki i nie więcej. Źródłowe informacje nie pozostawiają żadnej co do tego wątpliwości, że Łódź będzie musiała jeszcze na lotnisko poczekać. Jak długo? Ba, żeby to wiedział. To jedynie usłyszałem, że sprawa będzie zaklepana „w ramach rozpatrywanych obecnie ogólnych założeń rozwoju komunikacji lotniczej w całym kraju”. Usłyszałem też z ust najbardziej w mieście kompetentnych, że „jeśli w przyszłości uruchomione zostanie jakieś nowe lotnisko, to przede wszystkim w Łodzi”.

Tylko kiedy, kiedy? Nie wiadomo, nikt na razie żadnej wiążącej odpowiedzi udzielić nie może.

Wybrałem się również na Lublink. Lotnisko robi wrażenie. Wielkie hangary, przyjemne dla oka nowoczesne zabudowania, kilometrowej długości pasy startowe. Na nich dziwne raczej samolotki szkolniowe. Niektóre wyglądają jakby je wytoczono na świeże powietrze z muzeum technicznych osobliwości. Cicho tu i spokojnie. Bezruch i martwość. Taka idylla, której by nie zmącił nawet duży obóz campingowy, rozlokowany w samym środku tego bądź co bądź ogromnego lotniska. Na horyzoncie majaczą wieżowce Dąbrowy. Na drugim krańcu — ciemne pasmo dalekiego lasu.

Personel lotniska to stare wygi i wyjadacze. Połowę życia spędzili w chmurach i z leżką wspominają czasy, kiedy Łódź miała podniebne węzły nie tylko ze stolicą, ale też z Wrocławiem, Krakowem, Szczecinem... Minęło, przeszło. Czy wróci? Łodzianie bardzo się lotniskiem interesują. Nieustannie dzwonią na Lublink, dopytują, kiedy lotnisko zostanie wreszcie otwarte. Setki, setki telefonów. No dobrze, ale czy na Lublinku mogłyby wylądować samoloty typu Il-18?

Piloci wejrzeni na mnie z ukosa.

— Nie, to by było niemożliwe, ryzyko zbyt duże, bo brak odpowiednich urządzeń.

— A te mniejsze samoloty pasażerskie, chociażby A-24?

Odezwał się zgodny chór.

— To całkiem co innego. Naszym zdaniem nic nie stoi na przeszkodzie, by A-24 na tym lotnisku wylądował.

No proszę, łódzcy lotnicy są zdania, że mniejsze samoloty pasażerskie mogłyby lądować w Łodzi już dzisiaj. A-24 kursują zresztą nie tylko na liniach wewnętrznych. To znakomite maszyny. Sam leciałem A-24 do Budapesztu i absolutnie nie rzucało. Może jednak lotnicy się mylą? Mieli miny bramkarza, któremu strzelono gola z odległości 40 metrów. Jest przeto możliwe, że przemówił przez nich lokalny patriotyzm, prócz tego urażona ambicja zawodowa. A gdyby tak do Łodzi zjechała wreszcie komisja ministerialna, szczebla i fachowym okiem wysłuchiwała cały ten problem na miejscu? Zapanowałaby jasność w tej nad wyraz pogmatwanej sprawie, pełnej kontrowersji i dwuznacznych też uwag. Bo słyhać i tak, że lotnisko jest i to całkiem niezłe, tylko samolotów nie ma.

Związek Radziecki od lat produkuje serijnie samoloty pasażerskie typu Jak-40,

także inne, które lądują nawet na trawie. Lądują też na prowizorycznych lotniskach, przy których Lublink jest szczytem komfortu.

Odżył stary kontrargument.

Po cóż Łódź lotnisko? Przecież leży na dalekim przedmieściu Warszawy. Jedno Okęcie w zupełności wystarczy. Jeśli ministerstwo naprawdę uważa serio, że Okęcie jest też lotniskiem dla Łodzi, to wnioski z tego nasuwają się same. Bądźmy konsekwentni. Niechaj dla Łodzi wydzieli się na Okęciu pewną pulę biletów na samoloty w różne strony kraju. Niechaj będą one sprzedawane w łódzkim „Orbisie”. I niechaj sprzed tego „Orbisu” ruszy, jak to bywało przed laty, szybki autokar. Tyle, że nie w kierunku Lublinka, tylko wprost na Okęcie.

W lotniczej komunikacji kulejemy od dawna, podobnie zresztą, jak w telefonach i motoryzacji. Tracimy dystans. Przejrzałem rocznik statystyczny GUS-u. W 1950 roku bułgarskie linie lotnicze przewiozły 6 tys., nasze 30 tys. pasażerów. W 1968 roku role się zmieniły. Bułgarzy przewieźli drogą lotniczą 680 tys. pasażerów, myśmy przewieźli 477 tys. Robi się nieswojo. Zdystansowała nas nie tylko Bułgaria, ale też Rumunia i Portugalia, a więc państwa, które od kilkudziesięciu lat uchodzą za lotniczych outsiderów. Jeszcze porównanie z Hiszpanią. Start był równy. W 1938 roku Hiszpanie przetransportowali samolotami 11 tys. pasażerów, a my 10 tys. W 1968 roku Hiszpanie zapisali na swym koncie prawie 4 miliony pasażerów, wyprzedzając nas w ten sposób na trasie wielokrotnie. Pozostawili nas zdecydowanie w tyle.

Taka jest statystyczna prawda, gorzka na pewno, za to pełna i bez niedomówień.

Świat ucieka na odrzutowcach i nikt nie ma absolutnie zamiaru na nas się oglądać. Lotnictwo pasażerskie przeżywa wszędzie okres świetności. Toteż studia, jakie wszczęto nad całociowym systemem lotnictwa pasażerskiego w Polsce nie są przypadkowe. Odnosi się wrażenie, że lata, które nadchodzą, będą dla lotniczej komunikacji bardziej już tłuste. Skorzysta nad tym prawdopodobnie i Łódź, przypinając sobie te autentyczne skrzydła współczesnej techniki. Najbardziej wskazane rzeczowe wyjaśnienia podstawowego faktu w niczym nie zmieniają. Łódź lotniska nie ma. Prosimy więc o małe A-24 dla Lublinka. Albo o szybki autokar na Okęcie.

Czyżby i to było niemożliwe?

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

★ TERESA WOJCIECHOWSKA — Konkurs chopinowski.

★ JAN BABIŃSKI — Atom w łódzkiej pracowni.

★ ANDRZEJ GRUN — Wizytówki

oraz recenzje, konkurs, nowela.

hermetyczna jest tylko Jego trumna z pieczęcią plomby dyndającą ra sznurku. Jerzy Pleśniarowicz, który przygotował sobie na kartce pożegnalną mowę, nie może doczytać jej do końca, głos łamie mu się nagle, jakby dopiero teraz do niego dobiegła go wiadomość o śmierci Przybosa. Pana Juliana, jak nazywaliśmy go między sobą w gronie przyjaciół.

„Drogę do pół mam na dłoń wypisaną długą blizną. Dając słowo honorowe, trudem dzielę się przez te lata lotniejszą, nadreńczą pracą”.

Z wojewódzkiego Rzeszowa, z kamiennego placu, samochód uwodzi trumnę ku polom.

3.

Prawie zawsze mówił ze mną o swej córce, o Ucie. Ale Uta jest tematem Jego wielu wierszy. Tylko raz wspomniał o swych braciach w Gwoźnicy. Zaproponował, abyśmy się tam kiedyś wspólnie wbrali, zaproponował mimochodem i już nigdy nie ponowił tego zaproszenia.

Nigdy też tam nie byłem za życia Pana Juliana, ale chyba znałem Gwoźnicę. „Słońce ze wzgórz Gwoźnicy” — tytuł wiersza, który pozwolił mi wyobrazić sobie. „Znowu na rodzinnych polach” — jeszcze pełniejszy wizerunek.

„Znowu na rodzinnych polach zagonami zamiast ulic, gdy wysokość ponad głową, nieodparta wieża, wzłata, a powietrze, niższe ległe, natarczywie kwiaty pioską”.

Z Rzeszowa do Gwoźnicy jest blisko czterdzieści kilometrów, drogą pełną nagłych zakosów, wspinaczki i spadania, w pejzażu pagórowatym, o nieregularnym, postrzępionym widnokręgu. Na wzgórzach jeszcze świeża ruń traw, wiosna od ziemi i tylko wy soko, na drzewach, w gwałtownych rozblaskach liści, dodatkowo rozłożonych słońcem — jesień.

Samochody jadą prędko, o wiele za prędko.

Wzdłuż drogi szpalery dzieci: wy machują rękami, rzucają pod koła kwiaty. Polne i ogrodowe, kupione.

W powietrzu unosi się zapach ogrodów i woń spalenizny od ognisk rozpalonych na polach. Jest przeraźliwie jesienne, ale nie po grzebnie. Bo dopiero w Gwoźnicy asfalt ustępuje miejsca piaskom, jakby szosa przechodziła nagle w cmentarz.

Samochodowy kondukt mija wzgórze, na którym stoi biały dom kryty blachą, dcm braci Pana Juliana. Tej chaty, w której się urodził poeta, już nie ma. Budynek szkolny także nowy, tysiącłatkowy.

Sala gimnastyczna wybita kirem. Reflektory wyluskują z półmroku twarz poety na fotografii, młodą i uśmiechniętą i tylko żalobna wstęga znamiętuje na niej „smugę cienia”. Ludzie nadchodzą od pół, schodzą ze wzgórz, nadciągają od drogi. Niektórzy kierują się bezpośrednio na cmentarz.

Ministrowie, urzędnicy, nauczyciele, chłopcy i robotnicy, pisarze. Reprezentowana jest cała Polska. Tłum wielotysięczny. I najbliżsi poety kroczący tuż za trumną. Koła samochodu buksują w pia-

chu. Mijamy wiejski kościół z milczącymi dzwonami. A kiedy otwiera się widok na szczyt Patra, samochód zapada się w piachu na dobre.

I wtedy, z poetami kroczącymi po obu stronach samochodu, przejmujemy trumnę na ramiona. Jest zadziwiająco lekka, gdy ją niesiemy przez wzgórza, aby, jak sobie tego kiedyś życzył Julian Przybós, spoczęła wśród oraczy. „Spocznę śród oraczy”, napisał, wierny tej ziemi do ostatka. Wierny jej nawet po śmierci.

4.

Był nie tylko najwrażliwszym poetą. Był także przewidującym teoretykiem poezji i Jego myśl, na równi z wierszami, torowała drogę nowej sztuce, której, podobnie jak sobie samemu, stawiał wy magania najwyższe: domagał się przecież, aby budziła wiecznie no wy porów serca i wyobraźni. „Wizja nowego pisarstwa jest dziełem intelektu, rezultatem przenikliwej pracy myśli, myśli wyostrzonej do precyzji jasnowidztwa”.

Powiedział mi kiedyś żartobliwie, że towarzyszy naszemu wiekowi. Bo urodził się w pierwszym roku dwudziestego stulecia, w roku 1901. Ale teraz ten żart nabiera niesłychanie sensownego znaczenia. Poezja polska pozostajeby findesiecle'owa, nastroikową gadaniną, gdyby zabrakło w niej wierszopisarstwa Juliana Przybosa.

Żadne słowa nie oddadzą straty, jaką jest Jego śmierć.

10-13 października 1970 r.

POLONICA

SIENKIEWICZ I KUBACKI PO NIEMIECKU

Katalog berlińskiego wydawnictwa Rutten und Lening zapowiada na rok 1971 wydanie „Smutnej Weneccji” Wacława Kubackiego w przekładzie Ciesara Rymarowicza. Powieść ta, wyróżniona nagrodą państwową i ciesząca się w Polsce poczytnością, ukaże się w NRD pod nieco zmienionym tytułem „Abschied von Venedig” (Pożegnanie z Wenecją). Dodajmy, że w tym samym katalogu, ozdobionym pięknymi ilustracjami, znajduje się informacja o ukazaniu się właśnie po niemiecku „Briefe aus Amerika” (Listy z Ameryki) Henryka Sienkiewicza, które przełożył Christa Schubert-Consbruch i Johannes Jankowiak. Posłowie do „Listów z Ameryki” napisał Heinz Olschowsky, a w tekście pomieszczono kilkanaście ozdobnych ilustracji.

JK,

POZNAŃSKI „MARCINEK” W LIEGE

W czasie Festiwalu Miego Teatru w Liege wy-

stąpił z dwoma spektaklami wyborny poznański teatr lalek „Marcinek”. Zagra ona dla dzieci młodszych bajkę Krystyny Miłobędzkiej „Siała baba mak”, w inscenizacji Leokadii Serafinowicz i ze scenografią Jana Berdyska. Dla dzieci młodszych „Marcinek” pokaże „Guignola w tarapatach” Jana Ośmicy i Jana Wilkowskiego, w reżyserii W. Wierczkiewicza, ze scenografią L. Serafinowicz. Jest to widowisko oparte na starych tradycjach francuskich, nawiązujące do spektakli drogiego sercom Apollinaire’a i Sztayndyngera „Guignola”.

Warto dodać, że „Marcinek” przypadł widocznemu do gustu widzom i Polonii w Liege. W roku ubiegłym ambitni poznańscy gracze w tym mieście „Matkę” Stanisława Ignacego Witkiewicza, którym się dziś zachwycą zarówno Francja jak Belgia i Szwajcaria romańska (dzięki pracy Jadwigi Kukulczanki, świetnej jego tłumaczki).

(W. N.)

POLONICA

O droselklapie o panu Sprężyńskim i podłożeniu myszy

Od razu się domyśliłam, że ten nieznamy pan w niebieskiej wstążce to sprawdzacz warkotów w łazienkach, bo mamusia rano zadzwoniła do pani, u której płacimy komorne, żeby go przysłała. Teraz mamusi się wszyscy słuchają, bo jest od wczoraj przewodniczącą komitetu.

— Sciany się, proszę pana, trzęsa, jakby miały za chwilę runąć. W całym mieszkaniu aż dudni. Do kolegium takich trzeba podawać, co zakłócają spokój publiczny! Niech płacą grzywnę!

— Przejdę po wszystkich mieszkaniach. Sprawdzę, no i ma się rozumieć, jak znajdzie, to zablinuje.

— Bardzo pana proszę, bo dzień, dwa, a człowiek obłędu dostanie! I jeszcze jedno. Proszę dać mi znać o kogo to było. Jako przewodnicząca powinienam wiedzieć...

— Zrobił się — pan sprawdzacz zsunął z czoła czapkę bardziej do tyłu i wyszedł.

— Niech mamusia zawsze kupuje takie kolorowe świeczki. Są śliczne, nie gasną na wietrze i najładniej ze wszystkich się palą.

— Ile ich wzięłaś?

— Całe pudełko...

— To były przecież na grób wujka. Myślałam, że weźmiesz dwie, trzy... Tak nie można. Inne dzieci na pewno zaniosły po jednej, a połowa klasy wcale.

— Właśnie że nie! Każdy miał dużo, a Iwona, aż dwa pudełka — powiedziała prawdę.

— Przecież nie wypada pójść jutro na cmentarz tylko z małymi świeczkami, zwłaszcza, że ciocia Iza przyjeżdża... Co by sobie o nas pomyślała! Myj ręce, zaraz podaję obiad, a po obiedzie pobiegiesz do kioski i kupisz. Pamiętaj niech ci wybierze same czerwone i te ze zniczami w kształcie krzyża, a nie białe!

Nie nie powiedziałam mamusi o grobie, który trochę z Ewką uporządkowałam i postawiłam na nim świeczkę, bo by jeszcze bardziej się rozgniewała.

Mamusia nie okłamała pana sprawdzacza. Naprawdę ściana w łazience się trzęsie i warczy, jakby traktor jechał.

— Umyj się szybciej i wyjdźże już stamtąd, bo mi bębniaki perkają! — przynagliła mnie.

Jutro same pojedziemy na cmentarz, bo tatuś zwołał się z pracy i wyjechał. Zapomniałam, jak się ta wieś nazywa, na grób swoich rodziców, bo ktoś mu powiedział, że tam pod lasem Niemcy zakopali ludzi rozstrzelanych w Kuflewie.

Po dzwonku poznałam, że to ciocia, bo zawsze dzwoni trzy razy i bardzo mocno.

— Przed chwilą rozmawialiśmy z Bożenką o tobie. Trafiaś akurat na świeże kopytko.

Z cioci straszny kłaczek. Jak dostała od swojej mamy to szare futro, powiedziała, że za nie tego „fadracha” nie założy, bo już trochę chodzone, a jednak przyjechała w nim.

— Już pewnie myślałaś, że z twoją forą wypłynę za granicę. O, proszę, z podziękowaniem — ciocia z nowej torby, pewnie to krokodylowa, nigdy jeszcze takiej nie widziałam, wyjęła odliczone już pieniądze i podała mamusi.

— Zgadnij, ile dostałam za wóz? Osiemdziesiąt patyków! Dzięki temu, że kazałam wylakierować na bordo. Umiem opylać, co? Ale kupę już wydałam, bo wyobraź sobie, Paweł z jakimś kumplem dobrał się aż za Raszynem na kurza farmę i ze trzydzieści kurcząt wystrzelali z procy. Nie mogłam dopuścić, by sprawa powędrowała do sądu. Jedynym wyjściem było zatkać tamtych geber forą. Zdarli ze mnie jak z psa skórę, bo to ómki ze wsi. Powiadają ci, lepiej mieć tuzin córek niż jednego chłopaka.

W drzwiach korytarza ukazał się pan sprawdzacz. Wrócił już z obchodu.

— Wszędzie w porządku, proszę pani. Porządnym dom, wszystkie droselklapy dobre, nawet jednego przecieku nie zauważyłam. Skąd do jasnej cholki ten warkot?!

— Proszę, niech pan posłucha, znowu koncert się zaczyna. Oszaleję.

— Wezwij jakiegś specja, bo ci dom roznieśli! O mało serce ze mnie nie wyskoczyło! Istne trzę-

sienie ziemi! — gniewała się ciocia, otrząsając wodę z rąk na li-noleum w przedpokoju, bo ze strachu nie zdążyła ich wytrzeć.

★

Na sali zrobiło się cicho jak na lekcji z panią kierowniczką, bo na scenę wszedł śliczny pan. Nie był podobny do pisarza, tylko do artysty. Ładnie nam się uklonił i powiedział głosem wyraźnym, że bardzo się cieszy, żeśmy go do siebie zaprosili. Pani kierowniczka głośno chrząknęła, pewnie chciała mu przypomnieć, że to ona go zaprosiła, ale nie usłyszał. W ręku trzymał książkę z wierszami. Chociaż to on ją napisał, nie umiał swoich wierszy na pamięć. Mój Boże, że nie umiał! Widziałam, że czyta. Najpierw przeczytał wiersz, że na Warmii znalazł w lesie helm i ten helm był jednego żołnierza, który był z Tobolska, a potem drugi wiersz, że pewien więzień wytresował motyla, potem wiersz o panu Zagłobie.

Potem pytał nas, czy lubimy książki i czy jego książka „Miara bycia” i druga „Owoc z muz” nam się podoba.

Grażyna z trzeciej klasy, co ma najdłuższe warkoczki w całej szkole, powiedziała, że ze wszystkiego na świecie najbardziej lubi książki, a z nich „Miara bycia”. Pewnie kłamała, bo była czerwona jak pomidor.

— Ja też świetnie znam pana książkę „Anielkę”, bo jak byłam mała, mamusia mi ją ciągle czytała. Dostałam ją od cioci Izy... — nasza pani podbiegła do mnie i nie pozwoliła mi już nic więcej powiedzieć.

Nasza pani, chociaż nie zna cioci Izy, ani cioci Suzi, bardzo ich nie lubi. Raz to mamusię specjalnie poprosiła do szkoły i naskarżyła na mnie, bo podsłuchiwała, jak opowiadałam Ewce o palcach cioci Suzi, koronacjach i zagranicy.

Jak tylko pan pisarz dostał goździki, szybko zszedł ze sceny, chociaż jeszcze czekaliśmy. Pewnie bał się, że mu zwiędną. Przez to, że tak szybko od nas wyszedł, pani zdążyła jeszcze zrobić kawalek dyktanda. Na pewno dostanę piątkę, bo bardzo łatwe: „Nad przemocą błądzą przyczyny i błądzą czmiele”. Tylko tyle nam podyktowała, bo odezwał się dzwonek.

Iwona to prawdziwa koleżanka. Na złość zazdrośnicy Baśce odprowadziła mnie do rogu.

Przyszedł do nas pan Sprężyński, ważny kolega z tatusia pracy. To on z jeszcze jednym panem — slyszalam jak kiedyś, kiedy już zasypiałam, tato opowiadał mamie — podłożył tatusiowi świnie. Tatus brzydzi się świn i przez to był zdenerwowany. Nie wiem, czy tatus zapomniał o tej świnie, bo poprosił mamusię, żeby zaparzyła kawę.

Pan Sprężyński był bardzo grzeczny. Mówił, że on zawsze był tatusia prawdziwym przyjacielem i zawsze był dla tatusia dobry i o coś tatusia takim cichym głosem, że bym dobrze nie słyszała, prosił i coś obiecywał, ale tatus nie chciał się na to zgodzić.

Już mi się przestało podobać ten soplekomy naszyjnik. Zaniosłam go Ewce na wymianę. Zgodziła się poszukać przy ich śmietniku zdechłej myszy i zaraz przynieść. Włożymy ją panu Sprężyńskiemu do kieszeni w palcie. Jak on tatusiowi świnie podkłada, to ja jemu mysz podłożę, i zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!

Długo nie przychodziła. Bałam się, że pan Sprężyński sobie pójdzie i wyjdą naci. Zaczęłam się mo-dlić do świętego Antoniego i pomogło. Przyszła. Wcale nie chciała oglądać, bo nie lubię myszy. Wytłumaczyłam Ewce, które palto jest pana Sprężyńskiego.

— Będzie w dech! Może ją wy-ciągnie w kawiarni, bo będzie my-slał, że to papierosy! — śmiała się do rozpuku Ewka.

— Albo w tramwaju! Dopiero ludzie narobią pisk! —

W sam czas mu ją wsadziła, bo już wychodził z tatusiem na bardzo ważne zebranie.

— O czym tak szepczecie? — spytał tatuś wychodząc.

— O Baśce z naszej klasy. To taka plotkarka, proszę pana. Powiedziała, że Paweł będzie tam za granicę buty ludziom czyścił. Ona nie wierzy, że on będzie księciem i nie nie będzie robił, tylko pieniądze wydawał. — Ewka jeszcze lepiej umie kłamać ode mnie. Mówi, że jak ktoś chce być księciem, to musi się najpierw już z góry księciem urodzić...

— Jakim księciem? — zirytował się tatuś. — W głowie wam się poprzewracało! To wszystko przez te niemądre bajki! Atmosfera w tej waszej szkole musi być nie najlep-

ROBERTO GAGNO (SIENA)

Umieranie Wenecji

Rośnie mroczne morze
dotykając czułych brzegów miasta
i toniesz powoli
w milczących kręgach wody

Zbiłkane gołębie nad szarą laguną
nie znajdują ciepłych gniazd
wśród wysp opustoszałych

Gasną miejskie światła
pokrywa je woda
Tonie klejnot kamlenny
mój krzyk nie nie ocali

Gasnie nadzieja
— nie uniesiemy cię w dłoniach
z wnętrza powodzi
Odpływaj w głąb
Toniesz

Odwracamy głowy
aby nie wejrzeć w oczy okien
w śmierć miasta

Odpływają sprawcy
— ich zyski maleńkie
Odpływają sprawcy
do nowych przystani

Zostaje gładka tafia wody
grób weneckich stuleci
grób miasta
spadającego jak kamień
w morze

Przekład: JERZY WILMAŃSKI



sza. Te koleżanki z prywatnej inicjatywy muszą mieć pstro w głowie! Jak tylko znajdę chwilę czasu, wybiorę się do waszej wychowawczyni, porozmawiam... A lekcje zrobione?

Zamrukałam do Ewki.

— Nic nie było zadane, proszę pana, bo pani nauczycielki mama zachorowała...

— Starsi nie lubią książek, wiesz, i zagranicy też! — wytłumaczyłam Ewce.

Nie doczekałam się powrotu tatusia, bo szybko zrobił się wieczór.

Rano zbudził mnie, jak nigdy, podenerwowany głos:

— Taka kompromitacja! Taki skandal! Jak ja się teraz ludziom na oczy pokażę!

— Mówię ci, że nikt inny tego nie zrobił, tylko ten Sprężyński. Zawsze cię przed nim ostrzegałam, ale z ciebie taki święty Alojzy. Wtedy ci świnie podstawił, teraz jak z nim kruczo, bo plany norm zawałił i braki wypuszczał, to przychodzi. Wielki przyjaciel! Cacy, cacy, podlizuje się. Wygoniłabym draba, a ty go kawą podejmujesz!

Całą waszą premię zagarniał, a tobie nawet nie kapnęło!

Niech mu będzie na zdrowie. Ja zawsze ze wszystkimi jednako-wo, czy ktoś w tej chwili jest wielki, czy, o, taki mały! Zrozum, nie jestem podskakiwaczem. Poza tym to nie on mi wsadził! Nie bądź dziecinna! Nie jesteś przecież Bożeną! — Ten tatuś to też za dziecko mnie ciągle uważa. — Jacyś chuligani! Cholera! Kiedy pomyślę o tej kompromitacji, to mnie krew zalewa! Sala nieogrzewana, bo centralne wysiadło. Wszyscy w pal-tach. Wszedłem na mównicę. Chciałem ich jakoś bronić, bo przecież żał ludzi. Zaczęłam o obiektywnych przeszkodach w wykonaniu

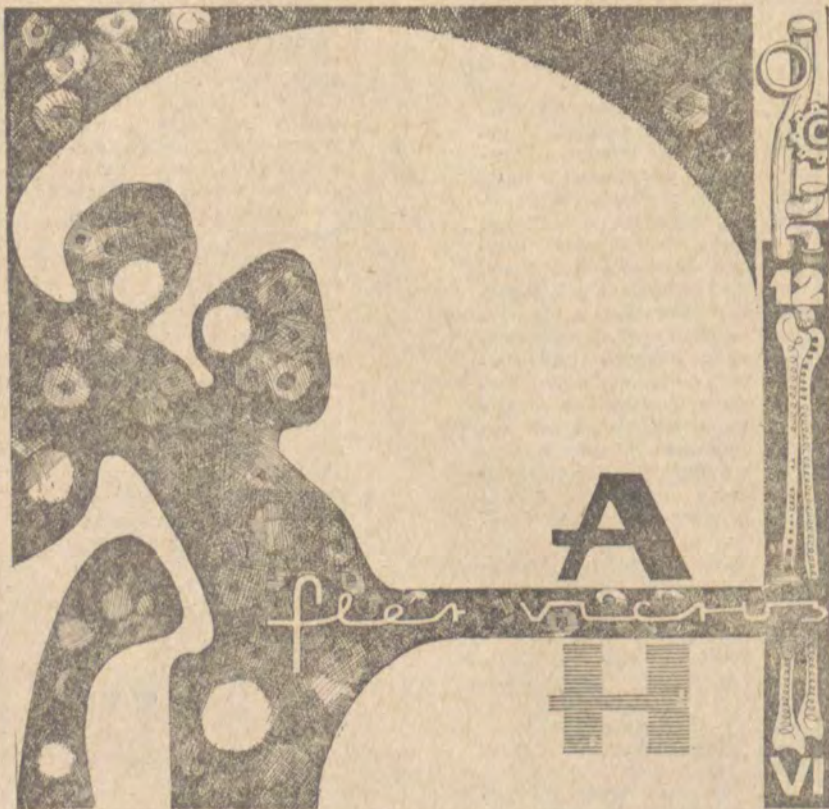
planu... Nagle — wiesz, że mam katar — zakręciło mnie w nosie. Wyciągam chustkę, w chustkę okrecone jest obrzydliwstwo! Kto wie, czy to nie był szczur, takie wielkie! Kobiety we wrzask. Te, co były najbliższe, a potem reszta sali w śmiech i brawa. Dowcipniś jeden, lubię go, bo nie boi się, ra-bie prawdę w oczy i górze, ale w ogóle dziwny trochę, krzyczy od sali, że to właśnie słusznie, że miałem na myśli klikę, która przeszkadza i w ogóle szaromysli. Tak powiedział, zamiast „szarogesi”. No i jeszcze większe brawa! Zglupiałem ze szczętem. Teraz każdy się będzie ze mną śmiał w zakładzie: mysi inżynier. Tłul! Ależ to było obrzydliwstwo!

Święci przecież wszystko wiedzą, na pewno więc święty Antoni wie-dział, do czego nam była mysz potrzebna. Mógł tak zrobić, żeby Ewka nie zdążyła przyjść. Jeszcze większa wina Ewki. Tłumaczyłam jej jak maluchowi, że palto pana Sprężyńskiego wisi z prawej strony. Ale ta olama nigdy nic nie rozumie.

— Tyle razy ci mówiłam, że on mi się nie podoba! Nie lubię ludzi o małych oczach, a on ma jak szpilki. Znaczący wrędn! Ale ty jesteś najmądrzejszy! Boże, taka kompromitacja! — narzekała mamusia.

— Kobieto! Mówię ci, że nie oni! Niczym Bożenka, traktujesz świat dorosłych jak dzieci. A poza tym zrozum: to wszystko właśnie dla niego fatalnie i dla jego kompanów. Od tego momentu zaczęli właśnie wołać: Klika! Szczury! Wynosić się! Za długo wam było dobrze na posadkach!

Fragmenty powieści „Królowa Majorki”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



Poza horyzontem

Rys. Arkadiusz F. Bor

Poeta przez żywioly rozdarty

Biografie artystów bywają częściej ciekawsze aniżeli ich dzieła. Przyczyną tego zjawiska tkwią na ogół w tym, że ludzie ci lokowali swoją osobowość twórczą bardziej w codziennym życiu, „rozmiatając się na drobne” i idąc wbrew ambicjom i szczytnym zamierzeniom po linii najmniejszego oporu. Występują innego rodzaju przypadki, gdzie dzieło artystyczne stanowi w pierwszym rzędzie źródło do badań osobowości artysty. Ideę, jaką jest projekcja życia ludzkiego, zastępuje sam fakt narodzin tego typu dzieła, utworu literackiego, który jest dziełem samym w sobie

przez to, że bezpośrednio odzwierciedla psychikę autora. Utwór takowy oddaje owocne usługi badaniom psychoanalitycznym, często mimowolnie mijając się z celami społecznymi, jakkolwiek nie oznacza to jeszcze nikłej jego wymowy ideowo-artystycznej. Pisze te słowa myśląc o zmarłym tragicznie przed sześciu laty poecie i prozaiku, Stanisławie Piętaku.

Nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej ukazał się zbiór wspomnień i esejów o tym poecie pod redakcją jego przyjaciół literackich, Anny Kamińskiej i Jana Spiewaka. Jest to już druga pozycja poświęcona życiu i twórczości autora „Młodości Jasia Kunefala”. Poprzedził ją ubiegłoroczny tom rozpraw i artykułów „Stanisław Pięta, poeta i prozaik”, zredagowany przez rzeszowskiego filologa, Stanisława Fryciego. Sądzić więc można, że zainteresowanie spuścizną literacką Piętaka, badaczy i zapewne czytelników, wzrasta i spodziewać się można w najbliższych latach solidnej monografii poświęconej pierwszemu „chłop skiemu nadrealistom” (termin Iwaszkiewicz), gdyż dotychczasowe opracowania zaspokajają jedynie pierwsze potrzeby rynku czytelniczego. W porównaniu z rzeszowską edycją tomów prezentuje się o wiele okazalej, jest bardziej interesujący, zredagowany, ma ściśle określony charakter wspomnieniowo-eseistyczny, wyzbyty piętna scjentyficzności. Pamiętnikarskie relacje ojca i brata poetki, które zamieszczono w części wstępnej, są jakby żywym dokumentem rodo-

wodu poetyckiego Stanisława Piętaka. Złazszcza wspomnienia ojca, Karola, sięgające w głównej mierze czasów galicyjskich, niezwykle plastycznie oddają mentalność chłopca spod Tarnobrzegu. Pięta był z „krwi i kości” chłopem, który dane było spędzić połowę życia w wielkich miastach (m. in. mieszkał w Łodzi kilka lat), a w których źle czuł się, wyobcowany, zagubiony, co jeszcze bardziej potęgowało jego rozdrażnienia i psychiczne załamania. Pasja tworzenia, wiecznej kreacji rozjaśniała stany chorobowe; konflikt sztuki — rzeczywistości przybierał coraz większe rozmiary. Pragnienie wyzwalającego czynu artystycznego, jak to określał Tomasz Burek, nie odstępowało poetę na krok. Nie fakt dokonania, stworzenia, a sam proces tworzenia, stan in statu nascendi były wiecznymi fascynacjami Piętaka. Wiazało się to z marzeniami o wielkim dziele o rozmachu faustowskim. Niestety, pozostało to tylko w sferze złudzeń.

Wspomnienia przyjaciół pisarza obejmują okres 1929—1964. Siegają pierwszych lat twórczości poetyckiego Piętaka, do czasów krakowskich, gdzie w tygłu sporów różnych ugrupowań poetyckich kształtowała się osobowość autora „Alfabetu oczu”. Ze wspomnień tych wynika, że Pięta w gruncie rzeczy stronił od apodyktyczności, od roli wodza kierunku czy ugrupowania. Niewątpliwie silny wpływ wywarły na jego twórczość ówczesne tendencje awangardowe, ale istota jego dzieła ma swe oryginalne korzenie, tkwiące głęboko w tra-

dycji ludowej. Niezwykle zasługi położył autor „Plamy” w kreowaniu rustykalnych tradycji w sposób nie spotykany do jego czasów w naszej literaturze. Wraz z wejściem Piętaka na łamy naszej ojczyźnej literatury zmieniło się pojęcie ludowości, która ujmowana była nader schematycznie, z pozycji krańcowo społecznych lub krańcowo estetycznych. W osobowości Piętaka te dwie tendencje uległy doskonałemu scaleniu, wysokie wartości artystyczne nie przesłoniły wymowy ideowej, utwory jego zyskały wymiar uniwersalny — od kreacyjnej baśniowości do realizmu. Stąd wszelkie szufladkowanie tej twórczości okazuje się plynym zamierzeniem, bo wymyka się ona wszelkim definicjom krytyczno-literackim.

Świadczy o tym najlepiej część eseistyczna omawianego zbioru, która zawiera recenzje i eseje dotyczące wszystkich ważniejszych pozycji książkowych Piętaka. Rozpiętość ocen jest tu niezwykle duża, od bardzo ostre i krzywdzących (zwłaszcza przedwojenne wypowiedzi krytyków) do aprobujących i hiperbolizujących znaczenie Piętakowskiego dzieła. Sam nie należy do sympatyków tej twórczości: nie mogłem się przekonać wcześniej, nie mogę i teraz po przeczytaniu tego opracowania. Rozlewność, zbyt duża fraza raziły mnie i nie przekonywały, wydając mi się anachronicznymi środkami stylistycznymi. Sądzę, że wizyjność, którą obficie są obdarzone wiersze Piętaka, a źródła której tkwią w odległej zbiorowej podświadomości ludu pol-

skiego, zyskałaby na ekspresyjności przez jej skondensowanie. Nie myślę na tym miejscu polemizować z autorami wypowiedzi krytycznych o Piętaku. De gustibus non est disputandum, ale odnoszę wrażenie po lekturze „Poety ziem rodzinnej”, że wartość niektórych sądów krytycznych przyćmiły więzy sympatii, jakie łączyły autorów tych not z Piętakiem. Stąd najmniej subiektywnych sądów, moim zdaniem, zawierają szkice Jana Brzękowskiego, Tomasza Burka i Wiesława Pawła Szymańskiego, którzy nie wartościują a jedynie interpretują. O wypowiedź wartościującą wydaje mi się, pokusił się będzie można za kilka lat, gdy czas wszystko odpowiednio sam wyważy.

Przyjaciele poetki, jak i krytycy, często nadmieniali, że Pięta był maksymalista, że ambicjonalny maksymalizm zniweczył jego twórcze możliwości. Z tego zderzenia rzeczywistości ze sferą zamierzeń zrodziła się tragedia poetki, przez „żywioly rozdarte”, jak trafnie określił Włodzimierz Słobodnik. Warto tu jeszcze przytoczyć słowa Zbigniewa Bienkowskiego, oddające paradoks życia i twórczości Piętaka: „Poezja Piętaka to chyba najbardziej samotnicza poezja współczesna. Nie wywoływała sporów, nie prowokowała polemik. A przecież była ustawiczną polemiką, ustawicznym sporem ze światem”.

*) Poeta ziem rodzinnej. Zbiór wspomnień i esejów o Stanisławie Piętaku. Przygotowali do druku Anna Kamińska i Jan Spiewak. Słowo wstępne Anna Kamińska, LSW, Warszawa 1970, s. 404.

Przeszłość i teraźniejszość

Na przelomie stuleci — potwierdza to wielu współczesnych — nikt bardziej nie wpływał na rozpowszechnienie się marksizmu i jego interpretację, nie tylko w Niemczech ale i poza ich granicami, jak Kautsky. W latach polemiki z Kautskim powiadał Lenin, że ów cie szyl się najwyższym autorytetem w II Międzynarodówce. W siedemdziesiątą rocznicę urodzin pisał do Ignacy Daszyńskiego: „Także dla nas, polskich socjalistów, byliście, drogi Towarzyszu, nau czycielem i przyjacielem. (...) Ja osobiście jestem od dzie sięcioleci waszym czytelnikiem i uczniem, w moich oczach należycie do pałady-nów nowej ery wyzwolenie-czego ruchu proletariackiego, który od pół wieku współtworzymy”. Współczesny historyk Marek Waldenberg — zebrał wiele podobnych wypowiedzi. Pisma Kautsky'ego cieszyły się szczególną popularnością w Rosji. W 1917 roku pisał Lenin: „Literatura rosyjska po siada bez wątpienia o wiele więcej przekładów prac

Kautsky'ego, niż jakakolwiek inna literatura. Nie na próżno niektórzy socjaldemokraci niemieccy żartują, że w Rosji Kautsky czytany jest bardziej niż w Niem-czech...”. Wedle niekomplet-

123 000 prac Marksa i 93 000 prac Bebla oraz 50 000 prac Engelsa. Tylko prace Lassalla ukazały się w większym nakładzie, bo w 283 000 egzemplarzy”. Głośna książka „Nauki ekonomiczne Karola Marksa, wydana po raz pierwszy w 1887 roku, do 1930 doczekała się dwu-

roka i wielostronną polemikę z rewizjonizmem swego niegdyś przyjaciela Bernsteina. Nie objął suymi badaniami późniejszej ewolucji poglądów Kautsky'ego, jego przejścia na pozycję reformizmu, w niewielkim tylko stopniu zajął się polemikami, jakie z niemieckim teoretykiem prowadził bę-dzie Lenin. W oparciu o sze-roką podstawę źródłową — nie tylko drukowane wy-powiedzi Kautsky'ego, Bernsteina i innych działaczy so-cjaldemokracji, lecz także nie-wyszukaną przez innych his-toryków rękopiśmienną ko-respondencję Kautsky'ego, Adlera i innych — dokonał szczegółowej rekonstrukcji dzieł sporu w sprawie po-glądów Bernsteina, jego re-perkusji w niemieckim i międzynarodowym ruchu robotniczym. Ale przecież — nie byłby autor wychowan-kiem prof. Konstantego Grzybowski — gdyby o-graniczył się tylko do histo-rycznej rekonstrukcji donio-słego sporu.

Liczni badacze sądzą, że Kautsky'ego pojmowanie procesu dziejowego znamio-nuje wywodząca się jesz-cze z tradycji Oświecenia

wiara w postęp i darwi-nizm socjalny, że charakte-ryzuje je zawężone, ewolu-cjonistyczne niemal rozumie-nie marksizmu, że jego kon-cepcja dziejów miała cha-rakter fatalistyczny, że gło-sił on „automatyzm rozwo-ju i w konsekwencji sprzy-jał kształtowaniu kwietez-mu i pasywności społecz-nej”. Owe właściwości kon-cepcji niemieckiego teore-tyka mają polegać zwiłasz-cza „na pojmowaniu praw-rozwoju społecznego, na traktowaniu ich jako okre-slających z żelazną koniecz-nością bieg dziejów, niezależnie od woli i świadomo-ści ludzi, a nie jako ten-dencji zderzających się z kontrtendencjami i innymi tendencjami”.

Historyk przeciwstawia się przypisywaniu Kaut-skiemu tej niedialektycz-nej, pozytywistyczno-ewolu-cjonistycznej interpretacji historycznej teorii marksi-zmu. „Uważając za błędne przedstawione wyżej opinie o pojmowaniu procesu histo-rycznego przez Kautsky'ego — pisze Waldenberg — mu-simy jednak od poglądów ży-wionych przez niego i popu-laryzowanych pod wpływem

przeświadczenia o potrze-bach ruchu socjaldemokra-tycznego odróżnić efekty tej popularyzacji, zdetermi-nowane nie tylko jej tre-ścią, lecz także innymi czynnikami, a wśród nich doświadczenia-mi i nastrojami odbiorców myśli Kautsky'ego. Wiele wskazuje na to, że wśród mas socjaldemokratycznych, a także wśród części dzia-laczy rozpowszechniała się taka fatalistyczna interpre-tacja materialistycznego poj-mowania historii, skłaniają-ca do biernego oczekiwania na socjalizm”. Szkoda, że au-tor nie zajął się bliżej tym właśnie zagadnieniem, że wszech względów zastępują-cym na dokładniejsze opra-cowanie. Jest wszak niez-miennie charakterystyczne, że w procesach kształtowa-nia światopoglądu wielu działaczy rewolucyjnych ko-ńca XIX i początku XX wieku wielki udział miały różne pozytywistyczne lek-tury historyczno-socjologicz-ne, mające niezmiernie ma-ło wspólnego z marksizmem. Wróćmy do tych spraw jeszcze przy innej okazji.

JÓZEF GRZELAK

Karol Kautsky

nych, niestety informacji w językach obcych ukazało się około 900 publikacji Kautsky'ego, w języku rosyjskim zaś najwięcej, bo ponad 200. „W drugiej połowie 1905 roku tj. w okresie największych swobód w Rosji car-skiej — pisze historyk — prace Kautsky'ego ukazały się, wedle oficjalnych da-nych, w 266 400 egzempla-rzach, w porównaniu z

dziesięciu pięciu wydań nie-mieckich i tłumaczeń na 18 języków.

Marek Waldenberg w swej książce „Myśl politycz-na Karola Kautsky'ego w okresie sporu z rewizjoni-zmem (1898—1909)” (Kra-ków 1970, Prace Prawnicze UJ) zajmuje się tym okre-sem działalności czolowego teoretyka II Międzynarodów-ki, w którym podjął on sze-

Literatura na świecie

są ściśle związane z historycznym procesem budzenia się świadomości narodowej. Dla Ukrainy znamieną epoką pod tym względem jest koniec XVIII — początek XIX wieku. Wówczas to stare hetmańsko-starszeńskie porządki rozpadły się, a Ukraina w konsekwencji systematycznego ujarzmania tej części Euro-py przez Rosję carską — stała się prowincją rosyjskiego imperium. W ścisłym związku z tym procesem zrodziła się ukraińska literatura narodowa, demokratyczna i wysoce ludzka w swej treści, odrębna od literatury wielkoruskiej, białoruskiej i polskiej. Ojcem jej był Iwan Kotlarewski (1769—1838) — pisarz i dramaturg o wszechstronnym umyśle, gruntownie wykształcony, który władał językiem francuskim, rosyjskim i polskim. Dobrze znał łacinę i grekę. Światopogląd Kotlarewskiego ukształtowali m. in. postępowi działacze kultury i literatury końca XVIII wieku — zwłaszcza myśliciele francuscy, których ruchem umysłowym interesował się już od lat młodzieńczych. Żyjąc na wsł, miał on okazję poznać dokładnie ucisk, niedolę i ciemność swego ludu, któremu artystycznym dziełem swego życia niósł pomoc i ulgę. Najwybitniejszym jego utworem jest „Eneida”, utwór oparty o klasyczne arcydzieło Wergiliusza. Na jego kanwie Iwan Kotlarewski przedstawił szeroki humorystyczno-satyryczny obraz życia na Ukrainie. Krytykując liczne słabości ludzkie, poeta, w warunkach niewoli pań-szczyźnianej i samodzierżawia —

występuje ze śmiałą tezą, że prawo do bohaterstwa i patriotyzmu ma nie tylko szlachta. Historyczną zasługą poetki jest wprowadzenie do literatury ukraińskiej — elementu narodowości i ludowości. Poemat I. Kotlarewskiego stanowił zwierciadło społeczeństwa ukraińskiego, w którym każdy mógł ujrzeć siebie i śmiać się ze swych słabości. Dlatego — jak słusznie pisał W. W. Hippius o „Eneidzie” Kotlarewskiego — „Znaczenie książki wychodziło po za granicę tematu ukraińskiego, a nawet literatury ukraińskiej...”. Realizm i ludowość rozwinął Kotlarewski w sztukach — „Natalka — Pol-tawka” i „Żołnierz czarodziej”. W pierwszej z nich pokazał życie lud-zki prostych i ujawnił istotne stro-ny ich charakteru narodowego, w dru-giej pokazał wyższość moralności lu-dowej i wykazał, że językiem lu-dowym można pisać najpiękniejsze utwory, które będą czytane nawet przez najbardziej wytrawnych znaw-ców.

Utwory I. Kotlarewskiego odbiły się głośnym echem nie tylko w Polsce, ale również w Bułgarii, wśród narodów Czechosłowacji, we Francji, Anglii i Stanach Zjednoczo-nych. „Eneidę” Napoleon wywiózł z Rosji jako zjawisko ciekawe i nie-powszednie. W ubiegłym roku na Ukrainie, w całym Związku Radziec-kim, a pod auspicjami UNESCO — w różnych krajach świata — obcho-dzona była 200 rocznica urodzin Iwa-na Kotlarewskiego, twórcy ukraiń-skiej literatury narodowej. Już u swych początków literatura u-

kraińska wzbogaciła kulturę europejską, stając się jej aktywną częścią. W swej zygawatej historii podą-ża ona i dziś w ścisłych z nią zwią-kach, wzbogacając ją niepowtarzal-nymi i wielopłaszczyznowymi ele-mentami. I. Kotlarewski stał się wychowawcą całego pokolenia twó-rców literatury ukraińskiej tej mia-ry co: P. Hulak-Artemowski, Jew-hen Hrebinka, Taras Szewczenko, rosyjsko-ukraiński pisarz M. Go-gol i inni. Wszyscy oni tworząc po-moż między innymi i nowymi cza-sy przyczynili się do ukształtowania się podcaży i po Rewolucji Październikowej całej armii poetów i pisa-ry, którzy oddali swe pióro na służbę narodu, dzielili jego losy i w tej chwili swoją przebogatą działal-nością artystyczną stworzyli w li-teraturze ukraińskiej dzieło wyjątko-we pod każdym względem. Stanowi ono w literaturze radzieckiej istot-ną jedność, a jednocześnie wyraźną odrębność narodową.

Nie sposób w krótkim artykule ująć całej nad wyraz złożonej histo-rii rozwoju nowoczesnej socjalistycz-nej literatury ukraińskiej. Była ona na pewno autentycznym odbi-ciem wszystkich przemian, zachodzących na Ukrainie — zwłaszcza od zwycięstwa Rewolucji Październikowej do chwili obecnej. Kontynu-ując klasyczne wzory demokratycz-nej i społecznej twórczości literac-kiej, już u kolebki ukraińskiej lite-ratury radzieckiej pierwszy jej sze-

Dalszy ciąg na str. 8

str. 7

WITOLD SŁOTWIŃSKI

Współczesna poezja ukraińska

Stato się prawie zwyczajem, że gdy mówimy o literaturze radzieckiej — nasuwa się nam mimo woli skojarzenie z literaturą rosyjską. Jest to jednak ze wszech miar nieuzasadnione i krzywdzące dla bardzo wielu literatur narodów Związku Radzieckiego. Pomijając przyczyny takiego kojarzenia — jest to zgoła odrębny problem, który nie będzie na tym miejscu celem na-szych rozważań — należy z naciskiem podkreślić niewątpliwą wagę współczesnych kultur zwłaszcza narodów większych a tym samym i literatur, nierosyjskich narodów Związku Radzieckiego. Naród ukraiński ze swoją 45-milionową ludnością jest jednym z największych naro-dów europejskich. Przeszedł on bu-rzliwe, najczęściej — nie z własnej winy tragiczne dzieje, związane wie-

lorakimi wypadkami historycznymi w Europie i Azji. Swoją odrębność narodową ukształ-tował w oparciu o przebogatą tra-dycję kultury staroruskiej, w ści-słych związkach z narodem — ro-syjskim i polskim. Związki z kultu-rą polską są widoczne nie tylko w formie historycznej spuścizny. Są one do dziś rozwijane przez wielu poetów, pisarzy i innych twórców współczesnej literatury ukraińskiej. Obustronne zainteresowania osiągnię-ciami w dziedzinie literatury współ-czesnej i publicystyki literackiej pro-wadzą do usunięcia wzajemnych u-przedzeń, nawarstwionych w pro-ce sie dziejów, a w konsekwencji do umocnienia uczuć wzajemnej przy-jaźni na płaszczyźnie szacunku i zrozumienia. Narodziny literatury ukraińskiej

Czy tylko w ogrodzie?

„Wszystko w ogrodzie”? Niby tak, ale raczej w sensie biblijnym. Rysunek na okładce programu Teatru Jaracza żartobliwie nam sugeruje, że terenem pierwsze go „grzechu miłości” był raj, a raj to ogród pełen słodkich owoców, słodkich zapachów i słodkich gestów Ewy — sama słodycz (hrrrr...) w węzowej inscenizacji.

„Wszystko w ogrodzie”, a może wszystko przez ogród? Też niecałkiem, bo chociaż autor sztuki, Edward Albee, obrał sobie ogród za miejsce pokusy, z elektryczną kosiarką do trawy w charakterze węża, to jednak ogród i maszynę można z łatwością zastąpić czymkolwiek innym, stanowiącym symbol wyższego standardu życia. Stąd wniosek, że jeżeli tytuł sugeruje jakieś metaforyczne uogólnienie, to w najlepszym razie jest ono dziełem przypadku. Ostre reżim sztuki jest ironiczny i okrutny, ton wyklucza wszelką metaforyczność, a zatem również uogólniający charakter tytułu. Albee, jak się wydaje, pragnął wszystko doprowadzić do najprostszych funkcji, do

dostojności nie dopuszczającej żadnych tam symbolizmów, a nawet dwuznaczności. W tej poetyce autor, znanej już łódzkiej publiczności, „Kto się boi Virginii Woolf” czuje się znakomicie i jest mistrzem obyczajowego konkretności.

„Wszystko w ogrodzie” to także wszystko zgodnie z nazwą: Polska wódka jest polską wódką, mężczyźni mężczyźni, kobiety kobiety — dolar dolarem, a nie jakimś symbolem zła. Zło jest w strukturze społecznej i w wynikającym z niej ludzkim działaniu. Małe snobizmy, małe ambicje, małe niedostatki, a nie niedza czy przymus, to impulsy wywołujące opisane przez autora reakcje.

Brak u Albee'go wyraźnej skłonności do konstruowania przeciwwagi, etycznej, przez tworzenie postaci heroicznych czy chociażby zdecydowanie kontrowersyjnych, stwarza wrażenie programowego cynizmu. Również Albee nie troszczy się zbyt o wypointowanie cy charakter tytułu. Albee, jak się wydaje, pragnął wszystko doprowadzić do najprostszych funkcji, do

nie dba — jest demaskacja.

Albee nie demonizuje tego, co można by nazwać dramatem moralnego rozkładu w społeczeństwie. Pokazuje jak niewinne są złego początki i jak łatwo się z jego skutkami pogodzić. I to jest przerażające. Dolar Albee'go nie jest synonimem potęgi, sławy czy władzy — jest nieco mniej małą stabilizacją, a mimo to i już bez Albee'go — o czym on chyba wie — zdajemy sobie sprawę z jego (dolar czy w ogóle pieniądza) dla boliczności. Ludziki jedzą z ręki za pociąganiem sznurka, za parę tysięcy dolarów, godzą się mężowie spać ze swoimi żonami w przerwach między ich godzinami pracy w burdelu, elegancko nazwanym pensjonatem. Panie pracują nie tracąc pogody ducha, mając nawet to krzepiące uczucie przydatności małżeńskiej w podnoszeniu stopy życiowej.

Morał sztuki, pt. „Wszystko w ogrodzie” nie jest krzykliwy czy patetyczny; ani wybujałe namiętności, ciała i duszy, ani nędza, ułomności, wybujały seks czy żywiołowe okrucieństwo — tylko cyniczne, płaskie wygodnictwo jest najpoważniejszą, a zatem najgroźniejszą chorobą XX wieku, czasu powojennego w świecie, w amerykańskim świecie, który Albee wypręparowuje.

Autor wprowadza Jacka, osobę dramatu i narratora, który ma być czymś w rodzaju głosu sprawiedliwego. W gruncie rzeczy jednak czuje się bezradność Albee'go nie wobec sztuki, która jest skonstruowana znakomicie, ale wobec zagadnienia. Diagnoza została postawiona, gorycz, smutek pozostały.

Albee zdaje sobie sprawę z wektorów sił działających przez kapitał na jednostkę, ujawnia to jedynie przez postać pani Tooth, przez jej świadomość potęgi dolara. W przeciwieństwie do Shawa nie usiłuje być moralistą, choć bywa również i gorzko ironiczny i nie pozbawiony dowcipu. Shaw, także psychologizujący, jest poszukiwaczem przyczyn o charakterze wewnętrznym, Albee porusza się głównie w sferze uwarunkowań zewnętrznych i przez to wydaje się, i chyba jest, płytszy problemowo, chociaż nawet, uwzględniając czas, równie przenikliwy.

Realizacja sztuki na scenie Teatru im. Jaracza uwzględnia te cechy poetyki Albee'go. Sztuka ma rytm, płynność i nie gubi lapidarności relacji utworu. Znakomity dialog jest podawany bez fałsu i bez przesady zarówno w sekwencjach komediowych jak i tragicznych.

Kreacja Marii Kozierskiej

jest realistyczna, oszczędna w swej sile i chyba dobrze, że artystka eksponuje tę swoją świadomość przewagi nad otoczeniem, bo tylko ona, Pani Tooth, ma mieć coś z demurga zdarzeń, ma być złowrogim pomrukiem „sily wyższej”. Kozierska umiejętnie i konsekwentnie realizuje założenia realizmu z małą domieszką mityczności.

Podobał mi się Kazimierz Talarczyk i jako swobodnie bez troski „kibic” Jack i jako rozumiejący rzecz całą komentator Jack. Umiał grać oddać i uczucie i zamyslenie.

Para małżeńska, Jenny, Alina Kulikówna i Richard, Bogumił Antczak, unieśli główny ciężar tego, co stanowiło oś konfliktu, a wytrzymało wygraną dużej skali zmiennych emocji i uczuć. Subtelnie przeprowadziła swą rolę Alina Kulikówna i bez potknięć. Jak zwykle wyraziści Antczak zrezygnował z dwójki targających nim emocji: rozpaczy rezygnacji z wyłączenia małżeńskiej i ukrytą (ale wygraną) radość z przypływu dóbr materialnych. W scenach dramatycznych wybuchów czuł się dobrze.

Rolę w drugim planie były pewnie naszkicowane przez wykonawców. Z bardzo trudnej roli wyrostka męskiego bez zarzutu wywiązał się Marek Kolażkowski.

Różne, ale każda w swoim stylu, typy pań z towarzysztwa, ale i z profesji stworzyły.

Mirosława Marcheluk (Cynthia) bez reszty wyłączona z kręgu refleksji etycznych i świetna w scenie pijaństwa.

Alicja Zomer (Beryl) z godnością przykrywająca „królewską” postawę i manier praktyki burdelowej.

Bożena Darlakówna (Luisa), miła, uległa pracownica łoża w domu i pensjonacie.

Panowie pogodnie pogodzili z losem alfonsov: Andrzej Głoskowski (Chuck) filozoficzną goryczką zaprawiał radość posiadacza dochodowego interesu.

Stanisław Sparyński (Perry) z bujną męską biologicznością czerpał pełnymi garściami urodę życia.

Antoni Lewek (Gilbert) powagę dyplomaty łączył udanie z zapobiegliwością skąpca.

Jak widać galeria typów bogata. Sądę, że czas kończyć, oddając, co cesarskie reżyserowi Halinie Machulskiej: a więc jak się rzekło — trafna obsada, płynność, spójność oraz lapidarność akcji.

Scenografia Barbary Janowskiej utrzymana w klimacie.

Opracowanie muzyczne: Piotr Hertel.



ZJAZD SŁOWIAŃSKI
W MOSKWIE 1867 ROKU

„Tournée polityczne” przedstawicieli słowiańskich, jak nazwał zjazd radziecki historyk S. Nikitin, to drugi po praskim (1848) tego rodzaju kongres, który odbył się w odmiennej sytuacji politycznej i miał odmienne od poprzedniego oblicze. Klęska Austrii pod Sadową i rozbudzenie dążeń do samodzielności wśród licznych narodów słowiańskich zamieszkujących monarchię habsburską warunkowały liczny udział w zjeździe przybyszów z państwa austriackiego: stanowili oni 80 proc. ogólnej liczby uczestników. Najliczniej przybyli Czesi, wśród których znaleźli się tak wybitni działacze jak F. Palacky czy J. Gregar; delegacja czeska liczyła 27 osób. Zjechało do Moskwy 12 Serbów, 13 Chorwatów, 4 galicyjskich Ukraińców, po trzech przedstawicieli Słowaków i Słowenów, po dwóch Czarnogórców i Serbów Łużyckich, jeden Bułgar i jeden polski przedstawiciel z regionu kaszubskiego, którym był nie byle kto, bo sam Florian Ceynowa. Nie było więc prawie zupełnie Polaków, choć organizatorzy jak się zdaje, liczyli na ich udział. Przeciwnieństwa dążeń gości — którzy swój udział w kongresie traktowali jako demonstrację polityczną skierowaną przeciwko swym rządom, nie solidaryzując się jednomyślnie z rosyjskim państwem — i organ

zatorów, dla których ostatecznym celem było nie tylko kulturalne, lecz polityczne zjednoczenie Słowian pod berłem carskim sprawiły, że kongres przyniósł niewielkie rezultaty. „Nawet ograniczony program panslawistów i słowianofilów na zjeździe nie spotkał się z przychylnym przyjęciem przez większość delegatów słowiańskich, dla których najważniejszym zadaniem była walka o odbudowanie swych narodowych państw” pisał historyk. Mimo to zjazd 1867 roku nie przestaje być ważnym wydarzeniem w dziejach panslawizmu zwłaszcza, że właśnie podczas jego obrad, przy licznych współudziale delegatów wielu narodów słowiańskich, podniesiono ideę na rodzie wschodniosłowiańskiego, w ówczesnych warunkach społeczno-politycznych anachroniczną, opartą o koncepcję słowianofilstwa lat czterdziestych XIX wieku. Nie obyło się na kongresie bez omawiania sprawy polskiej, przy czym ogólny ton rozważań przypominał raczej enuncjację carskich polityków. Galicyjskie polskie koła polityczne odnosiły się do zjazdu negatywnie, bowiem stawiały już wówczas na Habsburgów; o ewentualności udziału Polaków z zaboru pruskiego nie było co myśleć; w zaborze rosyjskim ideę kongresu popierała przede wszystkim administracja z hr. Bergiem na czele. W literaturze polskiej zaznaczył się wtedy ten zjazd przede wszystkim sporą garścią krytyk i polemik, wychodzących poza ramy krajowe, by wspomnieć o głoszących swego czasu wystąpienia Juliana Klaczki. Interesującą tą książkę starannie wydało PWN.

J. G.

Mieczysław Tanty, Panslawizm — carat — Polacy, Warszawa 1870, PWN, stron 267, cena 35 zł.

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś na pierwszej stronie kolejne zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowla?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Łódź, „Odgłosy”, Piotrkowska 96 — tylko na kartkach pocztowych. Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi można nadsyłać co tydzień.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

- I nagroda — 1500 zł
- II nagroda — 1000 zł
- III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

Współczesna poezja ukraińska

Dalszy ciąg ze str. 7

reg stanowić mieli poeci, których poezja nie tylko odzwierciedlała bu rziwe przemiany, ale niejednokrotnie była elementem inspirującym, wzbogacała lub rewolucyjnym patosem, tak charakterystycznym dla okresu rewolucji, wolny domowej i wreszcie pokojowego budownictwa lat dwudziestych.

Czołówką tego okresu byli poeci — polskiemu czytelnikowi zbyt mało znani i należący do historii niemalże odległej jak: O. Oleś (1878—1944), Mykoła Woronij (1871—1942), Mychajło Semenko (1892—1938), Mykoła Zerow (1890—1941), Wasyl Czumar (1900—1919), Wasyl Elian-Błakyt

nyj (1893—1925), Jewhen Flużnyk (1898—1936), Oleksy Włyżko (1908—1934). Współtworzyli wówczas i ci, którzy zapisali się nowymi treściami, formą i duchem współczesności, jako charakterystyczne zjawisko dla poezji ukraińskiej ostatniego dziesięciolecia. Mam tu na uwadze poetów starszego pokolenia, których twórczość stanowi jak gdyby ciąg genealogiczny młodej generacji poetów. Są to — że użyję umiarkowane go słowa — poeci głośni na Ukrainie — Pawło Tyczyna (ur. 1891), Maksym Rylski (1895—1964), Wołodymyr Sosiura (1898—1965), Mykoła Bażan (ur. 1904), Andrij Malyszko (ur. 1912), Wasyl Mysyk...

Pawło Tyczyna — początkowo związany z symbolistami, rychło wy zwoził się z zasad formalnych tego kierunku, wypracował własną formę twórczą, która stała się podsu-

mowaniem poszukiwań formalnych ukraińskiej poezji. Zafascynowany wielkimi ideami wyzwolenia społecznego i narodowego, jak też pięknem przyrody ojczystej i tradycją mi pieśni ludowej — poeta stał się lirycznym plewaczem Radzieckiej Ukrainy. Poezja jego od tomu — debiutu „Stoneczne klarnety” (1918), który pozostał jednym z najwyższych osiągnięć poezji ukraińskiej — po jeden z ostatnich tomów — „Podróż do Ichtimena”, nasycona filozoficznymi treściami, subtelna, muzykalna i malarska, z wplecionymi motywami ludowymi, w całości patriotyczna i internacjonalistyczna — jest swoistą kroniką Radzieckiej Ukrainy.

Na stronach literatury ukraińskiej polski czytelnik z satysfakcją odnajdzie sporo uwagi poświęconej problematyce polskiej. I nie chodzi tu o jakieś okólnikowe, czy też czy sto historyczne ujęcia, które powtarzają się raz po raz zarówno w poezji jak i prozie. Mam tu na względzie prawdziwe perły poezji ukraińskiej w dziełach Maksyma Rylskiego, Mykoły Bażana i Jurija Szerbak. Chociaż ostatni dwa poeci na swój sposób, każdy odmiennie, ale z pełnym zaangażowaniem i ciepłem poruszają naszą tematykę, to jednak twórczość żadnego z nich nie była tak owiana atmosferą

polskości, jak twórczość Maksyma Rylskiego. Ojciec poety, z pochodzenia Polak, powtórnie ożeniony z Ukrainką, posiadał w domu bogatą bibliotekę, w której m. in. była po każda ilość książek polskich. Ze szczególnie ulubionych przez pisarza utworami Adama Mickiewicza. One właśnie bezpośrednio przyczyniły się do tego, że młody Rylski podjął pierwsze studia nad twórczością wielkiego poety polskiego, które do prowadziły do znakomitego przekładu na język ukraiński „Pana Tadeusza”. Ten niestrudzony popularyzator literatury polskiej w swojej ojczyźnie, przez całe życie służył kształtowaniu dobrych stosunków z Polską. Świadczył o tym tytuły jego wierszy poświęcone Polakom: „Do Polaków”, „Do braci Polaków” (oba noszą datę 1941 r.), „Fuchar przyjaźni” (1942), „Mosty” (1943), „Do narodu polskiego” (1953), „Do Polski” (1954), „Na występie Mazowsza” (1956), „Polszcza” (1958), „Legenda wieków” (1961). Wiersze te są świetną ilustracją myśli poety, wypowiedzianej w przededniu zakończenia wojny, w związku z układem kwietniowym o przyjaźni i współpracy polsko-radzieckiej: „Problemy naszych stosunków z bliskimi sąsiadami stają w swej całej postaci przed nami: chodzi o lata pokojowego współżycia, o rzeczywistość do

brośniedzkie stosunki, o zabezpieczenie nie od wszelkich prób agresji, napadu, ucisku, rozbój, chodzi o zgodę między narodami, a szczególnie — narodami słowiańskimi”.

Jednego z wybitniejszych znawców i rozmówców popularizatorów literatury polskiej znajdujemy w osobie Mykoły Bażana. Twórczość jego niezwykle bogata pod względem tematycznym i formalnym, w atmosferze wielkiego ożywienia ukraińskiego życia literackiego lat dwudziestych — wyraża ostre konflikty tych czasów. Zarazem są one wspaniałym pierwowzorem impetu tworzenia. Wyrazem tego są tomy — „17 patrol” (1926) i „Rzeźbiony cień” (1927). Wychodząc z chaosu wydarzeń dziejowych — uściśla swój styl, który w konsekwencji na biera wizualności i plastyczności. Architektoniczna ścisłość wczesnej poezji miała w sobie coś z ekspresjonizmu, grawitującego później w kierunku romantyzmu. Roman tykiem w istocie na długo pozostał z tym jednak, że romantyzm Bażana z biegiem lat staje się bardziej klasyczny. Wysokie mistrzostwo formy pozwalał poecie raz być architektem, budowniczym nowej rzeczywistości Ukrainy Radzieckiej („Budo wle”, 1929 r.), kiedy indziej tropić specyficzną historię swego umęczonego narodu — („Katedra”, „Brama”), opie

Retrospekcja spoza krat



Przeglądałem się więźniom różnego pokroju. Wśród karanych pozba wieniem wolności, twarze notorycznych przestępców najbardziej obciążają pamięć. Nic dziwnego recydywiści budzą największe zdumienie i oburzenie normalnie i trzeźwo myślącego człowieka. Czy zdrowi, niejednokrotnie młodzi ludzie, nie wyciągają żadnych wniosków ze swego dotychczasowego życia? Co trzyma ich na marginesie społecznym? Co spowodowało, że swoim życiem obciążają przyzwolcie pracujących ludzi? Geny? Wrodzone skłonności kryminalne? Nie sądzę. Przecież zewnętrznie nie różnią się od innych przedstawicieli homo sapiens. Natura nie wy pisała na ich twarzach piętna przestępstwa. Widywałem nieraz bardziej „zakazane” wśród porządnym, uczciwych ludzi. Nieraz twarz wielokrotnie karanego sądownie przestępcy potrafi budzić nawet sympatię i zaufanie. Dopiero wgląd do akt więźnia nakazuje spojrzeć na niego inaczej. Dopiero wywiad środowiskowy, rozmowy z karanym i obserwacja jego zachowania w różnych sytuacjach, pozwalają zauważyć różnice.

Praktyka penitencjarna uczy rozpoznawania oznak zdemoralizowania więźnia również na pierwszy rzut oka, na podstawie mało widocznych dla laika szczegółów zewnętrznych. Mogą to być określone tatuaże, ślady różnego rodzaju samouszkodzeń więziennych, tzw. „sznity” (samemu wykonane blizny na twarzy), „grypserka” (słownictwo, sposoby nie legalnego porozumiewania się), akcent w wymowie, gesty itp., a więc wszystko to, w co „przyozdabia się” przez stepca, manifestując swoją odrębność, wskazując na swoją społeczną postawę. Wielokrotnie karany więzień, szpecąc twarz i ciało, kalecząc słownictwo, przywdziewając określony sposób zachowania się uzewnętrznia swoją identyfikację ze światem przestępczym. W obliczu tego faktu smutne stają się widoki na rychłą resocjalizację.

W czasie rocznego stażu pracy w charakterze wychowawcy więziennego miałem jako podopiecznych zarówno recydywistów, jak i pierwszych raz karanych, zarówno więźniów dorosłych — jak i młodocianych, z których młodociani recydywiści stanowią najtrudniejszy problem wychowawczy. Zetknąłem się również z problematyką kobiet odbywających karę pozbawienia wolności. I teraz, z perspektywy roku, odgądam przestalem pracować w służbie więziennej, mogę stwierdzić, że w stosunku do recydywy nie czuję żadnej satysfakcji pe-

dagogicznej, gdy jednocześnie w przypadku innych kategorii więźniów mogę rościć nadzieję, iż moja praca wychowawcza nie pójdzie całkiem na marne.

Nie wierzę, aby wszystkie środki, którymi dysponowałem w więzieniu, odnosiły właściwy skutek. Cały system rozpoznawania więźnia poprzez rozmowę, obserwację, wywiad, rozmowy z rodziną karanego, czytanie ko respondencji więźniów oraz system oddziaływania na podopiecznych poprzez odpowiednie zajęcia kulturalno-oświatowe, rozmowy wychowawcze, karanie i nagradzanie, ingerowanie w różnorodne sytuacje, w których więzień występuje, odpowiednia selekcja więźniów, wdrażanie do pracy, dyscypliny,ładu i porządku itd., wszystko to, ze względu na nadmiar problemów, a przede wszystkim ze względu na zbyt dużą liczbę podopiecznych i wypływające stąd ograniczenia czasowe, mogłem realizować w zbyt małym, moim zdaniem stopniu. A przecież w stosunku do recydywy żadnych zabiegów wychowawczych nie wydaje się być za dużo.

Dziś, po roku, wraca do mnie uczucie podobne temu, które towarzyszyło mi w czasie mojej pracy penitencjarnej. Uczucie szczególne, bo nie sankcje karne, jakie za swoje przestępstwa ponosili moi wychowankowie, były przedmiotem tego odczucia. Zresztą, współczesny wysiłek służby więziennej nastawiony jest na widzenie człowieka w każdym, nawet najzawęższym, nawet najzaciężniejszym złoczyńcy. Czasy galei minęły bezpowrotnie i nie jest dla nikogo tajemnicą, że warunki odbywania kary stają się coraz bardziej humanitarne. Oczywiście kara musi być karą i dlatego bywa często bardzo boleśnie odczuwana. Jednak przedmiotem mojej litości był człowiek, osobnik ubogi moralnie, przeciwstawiający się społeczeństwu bez żadnych racjonalnych powodów. Człowiek, brnący drogą, z której trudno go zawrócić, z której często nie ma już powrotu. Stanowisko etyczne postępowej służby więziennej można porównać do postawy lekarza. Wiadomo, że chorego nieuleczalnie nie da się uzdrowić. Mimo to lekarz do ostatnich dni pacjenta powinien robić wszystko tak, jakby wierzył w jego powrót do zdrowia. Lekarz musi, nieraz wbrew oczywistym faktom, wierzyć, że jego wy siłki mają chociażby znikomą szansę powodzenia.

Praktycy penitencjarni muszą w stosunku do recydywy więziennej mieć taki właśnie punkt widzenia. Recydywa, z którą pracują na co dzień, brnie uparcie w kie-

runku dalszej demoralizacji, zarażając często pierwszy raz karanych więźniów. Cały system oddziaływania wychowawczego spływa po niej jak przysłowiowa woda. Nie do przebiccia staje się mur świata przestępczego. Z jednej strony stoją ludzie w mundurach, którym etyka zawodowa nakazuje wierzyć w nawrócenie grzeszników, z drugiej zaś tzw. „drugie życie więzienne” z własnymi prawami, oparte na ignorowaniu wszystkiego co dobre i sprawiedliwe. Cynizm, silny, brutalny, amoralny cynizm. W tych warunkach praca ludzi w ciemnostalowych uniformach staje się szczególnie godna podziwu. Wielu z nich nabawia się nerwic, rujnuje zdrowie, lecz mimo to stale, sumiennie, dzień po dniu spełnia swoje obowiązki, swoją niewdzięczną misję społeczno-wychowawczą. Są naprawiaczami zaniedbań rodziców, szkoły, środowiska sąsiedzkiego, instytucji wychowawczych, za kładów pracy, lub naszej własnej znieczulicy społecznej. Właśnie dopiero tam, za kratą widzi się wyraźnie braki wychowawcze z zewnątrz. Gdzie byli rodzice, nauczyciele, sąsiedzi? Co robiły instytucje odpowiedzialne za wychowanie?

Tymczasem utarta opinia, że więzienie psuje, stale jest aktualna. Działalność pokonania systemu społecznego. Oto trafia za kraty młody człowiek. Popelnia przestępstwo. Musi być ukarany. Czy tylko? Nie. Przede wszystkim więzień powinien go nauczyć rozumu. Wychować. Zrozumiał się jednak ci wychowawcy, którzy sądzą, że to oni stwarzają sytuację wychowawczą. To raczej warunki dyktują im działanie określonego typu. Oni tylko interweniują, zapobiegają większemu złu. Kontakt: więzień-więzień dominuje nad kontaktem: więzień-wychowawca nie tylko ilościowo. Trzeba ogromnego samozaparcia ze strony karanego, ogromnego wysiłku woli, aby poddać się zabiegom resocjalizacyjnym, a przecież prawdopodobnie właśnie „słaba wola” skierowała go na drogę kolizji z prawem. Marzy się wychowawcy praca jedynie z garstką więźniów. Można by wte dy w trakcie wszystkich codziennych czynności więźnia czuć nad nim szczerem w zaraniu wszelkich przejawów zła, odrabiać w człowieku zaległości życia poprzedzającego okres wejścia na drogę przestępstwa.

Obecnie nie pracuję w więzieniu. W służbie pozostali koledzy. Wierzą w stopniową poprawę sytuacji. Dużo już w tym kierunku zrobiono. Zmiany wprowadza chociażby nowy „Kodeks Wykonania Kary Pozbawienia Wolności.”

wał bohaterską jego przeszłość, zwrócić się do liryki („Rozmowa sora”, 1928), to znów przenosić najnowsze zdobycze literatury światowej na grunt ukraiński. Jednym z większych jego osiągnięć poetyckich ostatnich lat jest poemat „Mickiewicz w Odesie”.

Do grupy wysoko cenionych poetów należą także Wasyl Mysyk, Andrij Malyszko i Leonid Perwomajski. Nazwisko W. Mysyka pojawiło się w periodykach młodej ukraińskiej literatury 40 lat temu. Jego subtelne, wyjątkowo plastyczne i lakoniczne wiersze zostały bardzo ciepło ocenione przez ówczesną krytykę. Wojna zagnęła poetę na front. Był dwukrotnie w niewoli niemieckiej. Przeżył całą gehennę jenieckich obozów, wyjątkowo nieślaskawych dla jęńców radzieckich. Był współorganizatorem ruchu oporu w obozie i masowej, udanej ucieczki jęńców w czasie egzekucji. Ogromnie bogata twórczość poety — niestety prawie nie znanego w Polsce — charakteryzuje się subtelnym wy borem tematów, formy i słowa, jest przesycona filozofią, odczuwalną w każdym oszczędnym słowie, czy wierszu — zasiłguje w pełni na oddzielne i szczegółowe opracowanie w polskiej publicystyce literackiej.

Człowiek drugiej połowy XX wieku, jego praca i szczęście, troska o

przyszłość w złożonym świecie współczesności, ostra reakcja na dobro i zło, wiara w zwycięstwo do bra i pokolowej pracy człowieka, na miętne wołanie o pokój, oraz pamięć za jaką cenę został on zdobyty — to tematy najnowszych tomów wierszy — poety-humanisty Andrija Malyszki (ur. 1912 r.).

Ożywczy powiew XX i XXII Zjazdu ogarnął poetów i prozaików star szego i młodszego pokolenia, wystrzelił ich uwagę na problemy. Poezja zaowocowała obficie, w krótkim sto sunkowo czasie nowymi tomami wierszy. Powstały „Sen srebrnej no cy” Tyczyny, „Zeszyt włoski” Bażana, „Przejrzystość” Malyszki, „No tatk! zimowe” Ryłskiego, „Jesiennie melodie” Sosiury i szeregu innych. Atmosfera „odwilży” wpłynęła do datnio również na młodsze pokole nie twórców poezji. Wprawdzie już w latach pięćdziesiątych tomem wierszy o wymownym tytule „Praw da wzywa” — wypowiada się, jak zawołaniem — Dmytro Pawlyczko (ur. 1928), ale prawdziwa fala młodych poetów przyjdzie nieco póź niej. Są to: Lina Kostenko (prawie równoległe z Pawlyczką), Iwan Dracz (ur. 1936), Witalij Korotycz (ur. 1936), Mykoła Winhranowski (ur. 1936), Wasyl Symonenko (1935—1963), Wasyl Stus, Irena Zytienko, Borys Neczerda i inni. Każdy

z wymienionych poetów jest oczy wiście odrębną indywidualnością. Każdy z nich wyraża własny punkt widzenia artysty na sprawy współ cześnieści w szerokim tego słowa znaczeniu, jak też interweniuje w bieżące sprawy rzeczywistości Ukrai ny Radzieckiej. Przemawiają za tym m. in. wiersze wyjątkowo zaangażowanego w moralne i polityczne spory epoki, niestety, przedwczśnie zmarłego poety — Wasyla Symonenki. Inaczej, chociaż z nie mniejszą pasją, podejmuje sprawy dobra i zła, autorka tomów „Promienie ziemi”, poematu „Mewa na krze” (o Polsce), oraz tomu wierszy „Wędrowki serca” — Lina Kostenko. Obok refleksyjnej i pastelowej liryki (Irena Zytienko), spora grupa poetów reprezentuje poezję zaangażowaną ze skłonnością do filo zoficznej interpretacji rzeczywistości. Przedstawicielami tego rodzaju poe zji są — jeden z najwybitniejszych poetów młodego pokolenia — Iwan Dracz i Mykoła Winhranowski. Debiutującemu w 1959 r. I. Draczowi sławę i rozgłos przyniósł zwłaszcza poemat „Nóż w słońcu” (1961) i to miki wierszy „Pretubercje serca” (1965). Jest on ponadto autorem „Etiud” i „Ballad”, wchodzących w skład tomu — „Słonecznik” (1962), oraz szeregu wierszy rozrzuconych w czasopiśmie literackim. Głęboko

zaangażowany we współczesność, au tor nawiązuje do tradycji klasycznej poezji ukraińskiej T. Szewczenki, wczesnego Bażana i Tyczyny. Wiersze jego cechuje ogromna lekkość, pasja systematyzowania, bogactwo skojarzeń, umiejętność prze rzucania pomostów przez różne epo ki kulturowe, erudycja; równocześnie nieobcy poecie śliryzm i ostra ironia. Jest coś, co łączy I. Dracza z M. Winhranowskim. Na pewno jednym z elementów kojarzących obu poetów jest ich związek z filmem: I. Dracz jest znanym scenarzy stą filmowym, zaś Winhranowski — aktorem i reżyserem filmowym. Łą czy ich również ogólnie wysoki poziom poezji i jej filozoficzność. Cha rakterystyczną właściwością poezji Mykoły Winhranowskiego — autora m. in. zbioru „Z Chłodnoji Bałki”, jest subtelny, elegijny nastrój, u mniejszość trafnego uchwycenia na stroju jesienniej przyrody, skłonność do soczystego detalu; chwilami opi sy jego mają charakter wręcz natu ralistyczny. Nie szkodzi to jednak ca łości, gdyż oślna atmosfera poezji wchłania te szczegóły, tworząc ogólny ton, jaki wyznaczył swemu dziełu — poeta. Nastrojowość wierszy Winhranowskiego ma w sobie coś wyjątkowego, charakterystycznego tylko dla niego. Każde niemal słowo prócz swego obiektywnego zna-

czenia i nastroju, ma jakiś szczegól ny aromat subiektywnej właściwo ści nadanej mu przez poetę.

Wreszcie jedno z naczelnich miejsc w dzisiejszej poezji ukraińskiej zajmuje temat antywojenny. Do niego nawiązuje ogromna więk szość poetów. Temat ten z nadzwyczajną ostrością brzmi u Andrija Ma lyszki, podejmuje go także szeregi mniej znanych polskiemu czytelnikowi poetów. Przekleństwo wojny brzmi w wierszach W. Hryczaka, M. Petrenki, J. Serdiuka, W. Korza i innych. Bohaterowie ich wierszy marzą o przyszłości, kiedy lu dzie, obalwszy faszyzm, będą żyć w miłości i pokoju (W. Korz „Monolog poezjalny Mykoły Szutia”), lub — jak to czy ni — J. Serdiuk w „Etiudzie dzieci stwa”, w której poeta spokojnym i lakonicznym doбором słów, przywołuje wspomnienia głodnego dzie ciństwa pierwszych powojennych lat.

WITOLD SŁOTWIŃSKI



Film i dydaktyka

I Ogólnopolskie Sympozjum Filmu Naukowego i Festiwal Filmów Dydaktycznych, który odbył się w Łodzi w końcu września były rezultatem wieloletnich starań zarówno realizatorów filmowych jak i ludzi nauki i dydaktyki.

W festiwalu uczestniczyli zarówno filmy dydaktyczne powstałe w wytwórniach zawodowych, jak i filmy zrealizowane w uczelniach wyższych, instytutach placówkach naukowych różnego typu. Ta dwutorowość festiwalu była odbiciem aktualnego dziś procesu realizacji filmów i samego zapotrzebowania na nie. Wytwórnie wykonują filmy na zlecenie określonych resortów, placówki dydaktyczne i badawcze wykorzystując umiejętności przeszklonych na kursach filmowych pracowników, realizując tematy najpotrzebniejsze w toku ich pracy.

Festiwal i Sympozjum, podsumowując dorobek wielu lat, wyłoniły nie tylko wzorce najlepsze, ale ujawniły jednocześnie wiele spraw, wymagających przemyśleń, nowych poszukiwań i decyzji. Spośród licznych refleksji, które nurtowały

uczestników obu imprez wyłoniły się kilka dla zagadnienia najistotniejszych.

Współczesność nasza, w której troska o poziom wiedzy i rozwój nauki pozostaje w ścisłym związku z rozwojem społecznym i ekonomicznym, postawiła przed szkołą, na wszystkich szczeblach edukacji, zadania szczególnie odpowiedzialne. Coraz silniej wyłania się konieczność zmian w istniejących systemach kształcenia i wychowywania społeczeństwa. We wszystkich dyskusjach o modelu współczesnej dydaktyki pojawia się zagadnienie udziału dydaktyki audiowizualnej. Spośród wszystkich środków audiowizualnych film wysuwa się na plan pierwszy. Powierdzają to zarówno badania pedagogiczne, jak socjologiczne i psychologiczne.

W roku 1970 z tą tezą godzą się już właściwie wszyscy, pozostają pytania dotyczące modelu filmu dydaktycznego i badawczego, metod jego wykorzystania, sposobów rozpowszechniania, możliwości technicznych i finansowych zarówno w procesie jego realizacji, jak i włączenia w system kształcenia.

Festiwal prezentujący filmy na pokazach konkursowych i informacyjnych ujawnił ogromne dysproporcje między poszczególnymi dyscyplinami wiedzy, które filmy te prezentowały. Wśród dobrego zestawu filmów medycznych, biologicznych, rolniczych, a także technicznych bardzo niżej wypadły tak zwane filmy humanistyczne.

Sympozjalne dyskusje wykazywały również ogromne niedobory tematyczne właśnie tam, gdzie przy trudnych problemach, film mógłby przyjąć pedagogom w surowym kurs z całym swym bogactwem materiału ilustracyjnego, obserwacyjnego i motywacyjnego.

Przyczyn tego stanu rzeczy nie można szukać wyłącznie w ucieczce realizatorów zawodowych czy amatorskich od tematów trudnych. Można odnieść wrażenie, że władze szkolne nie zawsze znają autentyczne potrzeby nauczycieli i wykładawców wyższych uczelni. Współudział praktyków pedagogów w realizacji filmów dydaktycznych był jednym z postulatów często nym z sympozjum powtarzanym.

W nim upatrywano możliwości poszukiwań najwłaściwszego modelu filmu dydaktycznego, gdyż niewiele dziś jeszcze filmów tym mianem określanych spełnia wszystkie jego warunki.

Istnienie jednakże nawet najlepszych, podporządkowanych wszystkim kryteriom filmów dydaktycznych nie oznacza jeszcze wkroczenia do klas szkolnych, sal wykładowych na wyższych uczelniach, czy do świetlic społecznych. Toteż drugi tor dyskusji na łódzkim sympozjum wytyczyły zagadnienia metod dydaktyki audiowizualnej.

Jeśli nawet można dziś jeszcze zgłaszać zarzuty wobec wartości merytorycznej czy przydatności dydaktycznej wielu filmów, to jednocześnie można z pełną odpowiedzialnością twierdzić, iż istniejących już możliwości szkolnictwa nasze nie wykorzystuje. Różne są tego przyczyny.

Obok niedoskonałości sieci dystrybucyjnej, słabej informacji, braku przyzwoitego zaplecza materialnego w postaci sal audiowizualnych, odpowiednio przystosowanych do lekcji wykładów i ćwiczeń, postawić należy za gadnienie braku metodycznego przygotowania pedagogów do włączenia filmu w procesy nauczania i wychowania. Co więcej — nawet braku umiejętności posługiwania się aparaturą.

Choć wzmiankowane tu problemy byłyby wielokrotnie rozważane w różnych grupach zawodowych, festi-

wal i równolegle przebiegał symposium po raz pierwszy stały się trybunał zwolniony wypowiedzi. Jednocześnie opinii pracowników nauki, pedagogów, realizatorów, dystrybutorów, tyczących spraw generalnych, wymagających decyzji i rozwiązań niemal na dziś.

Tegoroczny festiwal ujawnił również fakt, że w naszym kraju nie realizuje się filmów sensu stricto naukowych, badawczych. A przecież wiemy jak olbrzymie usługi w nauce oddają tego typu filmy. W świecie realizuje się ich bardzo wiele, a ludziom nauki często zalicza się je do ich dorobku badawczego.

Uczestniczący w festiwalu i symposium zawodowi i nie zawodowi realizatorzy filmów dydaktycznych, poza okazją zdobycia nagród, mieli możliwość konfrontacji swych poczyną, szansę poznania opinii o swych filmach i refleksji na temat modelu właściwego. Ci zaś, którzy z ich filmami pracują, podsumowywali swą wiedzę i doświadczenia, szukali form nowych i lepszych. Postulowano społeczne potrzeby, licząc, że zebrane i sformułowane na sympozjum wnioski staną się materiałem dowodowym, ale także wyjściem dla sposobu dalszej działalności. Jedni i drudzy pragnęli za dwa lata spotkać się znów w Łodzi na II Sympozjum Filmu Naukowego i Festiwalu Filmów Dydaktycznych, uznając te imprezy za niezwykle ważne i cenne.

Agent nr 1

Przed kilkoma laty Stanisław Strumph Wojtkiewicz napisał pod tym tytułem interesującą książkę opowiadającą o losach Jerzego Iwanowa-Szajnłowicza, Polaka, syna Rosjanina i Polki, urodzonego w Warszawie, który dzieciństwo i młodość spędził w Grecji. Znakomity sportowiec, z wykształcenia inżynier-rolnik, władający biegle kilkoma językami, Iwanow-Szajnłowicz służył w czasie ostatniej wojny jako polski dywersant współpracujący z Intelligence Service. Działając samotnie dokonał on niebywałych spustoszeń w niektórych formacjach Wehrmachtu i armii włoskiej, stacjonujących w Grecji. Poza przekazywaniem cennych informacji aliantom, Szajnłowicz dokonał brawurowych akcji zatapiania okrętów podwodnych za pomocą min magnetycznych oraz uszkażdzenia jednostek Luftwaffe przez dosypywanie substancji chemicznych do benzyny. Losy tej niezwykle interesującej postaci historycznej będą tematem filmu. Scenariusz, na podstawie książki Strumph-Wojtkiewicza napisał Aleksander Scibor-Rylski, reżyserować będzie Zbigniew Kuźmiński, który właśnie poszukuje miejsca dla odzwierciedlenia greckich plenerów nad brzegiem Morza Czarnego — w Związku Radzieckim lub Bułgarii. (two)

TELEOBIEKTYW

DRAMATURGIA TELEWIZYJNA

12. X. Telewizja Warszawa powtórzyła z taśmy telerecordingu widowisko Jerzego Janickiego „W kuźni urodzony” ze świetnymi kreacjami Gustawa Lutkiewicza (Józef) i Ignacego Machowskiego (General). Zgodnie ze wstrzemięźliwością, jaka ostatnio cechuje oprawę Teatru Telewizji (żadnych wstępów, żadnych wyjaśnień), nie przypomniano, że za scenariusz tego widowiska autor otrzymał i nagrodę na zamkniętym konkursie na sztukę telewizyjną związaną z XXV rocznicą PRL w 1968 roku.

Telewizja Polska może już pochwalić się pewnym dorobkiem w dziedzinie oryginalnej twórczości scenarjopiskarskiej z przeznaczeniem dla małego ekranu. Inicjatywa dorocznie niemal, poczynając od 1969 roku, organizowanych konkursów z wolną przynosi plony. Zrodziło się z nich co najmniej kilkadziesiąt sztuk telewizyjnych z prawdziwego zdarzenia, powiększyło się grono dramaturgów piszących teksty dla telewizji.

W tych dniach wyszła z druku pierwsza polska antologia sztuk telewizyjnych pt. „Teatr szklanego ekranu” (Iskry, Warszawa 1970). Wyboru sztuk do tej książki dokonał Stanisław Kuszewski, który we wstępie m. in. napisał: „Scenariusz widowiska telewizyjnego, jeśli chodzi o objętość, tak się ma do pełnospektaklowego dramatu teatralnego jak nowela do powieści. Albo jak jednoaktówka do sztuki wieloaktowej, z tym że w porównaniu z tradycyjną jednoaktówką teatralną, działającą się zazwyczaj w jednej dekoracji i jednym planie czasowym, telewizja stwarza o wiele bogatsze możliwości operowania czasem i miejscem akcji. Pozwala to na znaczne poszerzenie zakresu poszukiwań tematycznych.”

I jeszcze jeden cytat ze wstępu Kuszewskiego: „Tekst sztuki telewizyjnej uzyskał szansę, jakiej dotychczas nie posiadała literatura, jednocześnie dotarła do wielomilionowej publiczności, oddziaływania na wyobraźnię szerokiej rzeszy społeczeństwa, organizowania emocji odbiorców różnych warstw i zawodów, daje możliwość jednoczesnego uczestnictwa w przeżyciach, jakie proponuje wszystkim odbiorcom programu.”

Kuszewskiemu udało się uchwycić w cytowanych wyżej zdaniach najbardziej charakterystyczne cechy dramaturgii telewizyjnej. Nie ulega wątpliwości, że jest to dramaturgia odmienna od typowo teatralnej. Różni się nie tylko zresztą formatem.

Już w kształtowaniu tekstu dramatycznego autorzy kierując się własną wizją widowiska, starają się aranżować sytuacje, które optymalnie sprawdzają się na małym ekranie. Ulubioną więc formą dramatu telewizyjnego będzie dialog, w którym uczestniczą możliwie mała ilość osób. Waga słowa wypowiedzianego przez bohaterów powinna w miarę możliwości być taka, by usprawiedliwić duże zbliżenia twarzy aktorów-wykonawców. Trzeba bowiem pamiętać, że w sztuce telewizyjnej znacznie mniejszą rolę spełnia dekoracja, oprawa plastyczna. Tak zwane ogólne plany są przeważnie dla widza mało czytelne.

I jeszcze jeden moment różni zdecydowanie teatr telewizyjny od „normalnego” teatru. Jest to możliwość zastosowania wstawek filmowych, które poszerzają epicką wymowę widowiska.

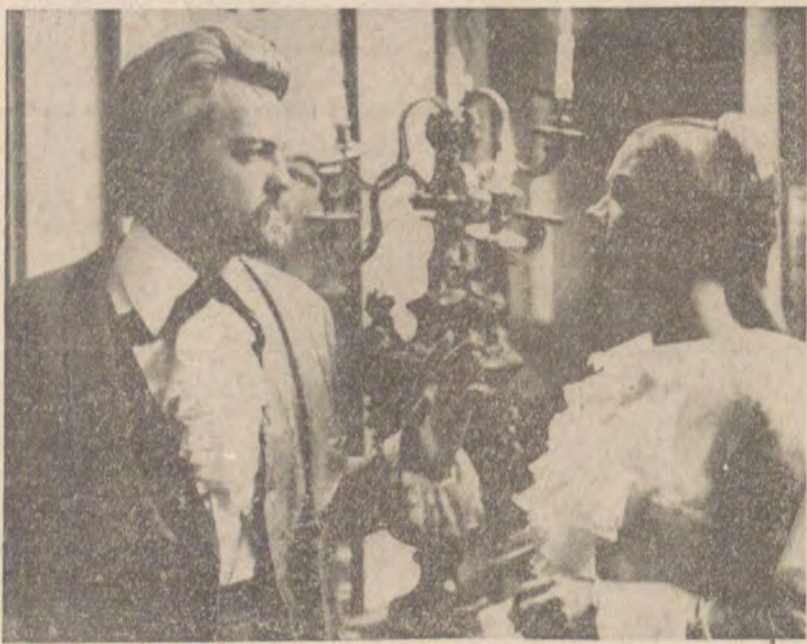
Teatr Telewizji ma swoje ograniczenia, ustępuje plastycznie i czytelnością i filmowi. A jednocześnie integruje te dwie formy i rekompensuje straty artystyczne masowością odbioru.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

P.S. W książce „Teatr szklanego ekranu” pomieszczono 11 sztuk telewizyjnych, wśród nich niektóre wroc już klasyczne, jak „Ta wieś mogła” J. Broszkiewicza, czy „Mistrz” Z. Skowrońskiego. Mł. m. że w tak znakomitym otoczeniu znalazła się i moja sztuka „Siedem dni prezydenta”, zrealizowana przez Telewizję Łódź 1. XI. 1968 r. w reż. Romana Sykały. W przedstawieniu tym Jerzy Przybylski w roli prezydenta Narutowicza uzyskał wielki sukces artystyczny i zaskarbił sobie wdzięczność osobistą autora.

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Próby filmowych odczytań wielkich pozycji literackiej stanowią niemal w każdej kinematografii narodowej jeden z głównych kierunków jej zainteresowań. Do najwytrwalszych adaptatorów sztuki literackiej należeli zawsze i należą nadal filmowcy radzieccy. Dopracowali się pewnej typowej dla ich poczyną formuły adaptacyjnej, której zasadą podstawową jest zachowanie maksymalnej wierności tekstowi literackiemu. Jak pamiętamy — rzadko usiłowania oznaczały sukcesy — wierna ilustracyjność sło-

wa nie oznaczała wierności ducha utworu. Zawsze w tych filmach imponowała umiejętność wydobycia prawdy obyczajowej, typowości postaci, często klimatu epoki.

Interesujący film Andrzeja Michałkowskiego — „Koncepcja gniazda” — „Pierwszy nauczyciel” mógł budzić nadzieję, że reżyser ten decydując się adaptować „SZLACHECKIE GNIAZDO” Iwana Turgieniewa, zaproponuje czytelnikom tej klasycznej powieści literatury rosyjskiej, również dobry film.

Obawiam się, że nie po raz pierwszy

czytelnicy przeżyją w kinie rozczarowanie, którego źródła tkwić będą w grzechu głównym — w nudzie. Mało kogo nudzić bowiem mogą powieści Turgieniewa, zachwycające zawsze nie zwykłą umiejętnością odkrywania tajemnic ludzkiej natury, jej niedoskonałości, sprzeczności, jej związków z naturą, przyrodą, w tym wypadku z rosyjską ziemią.

Uczucie nudy nie może nas jednak opuścić, gdy oglądamy film Koncepcji gniazda. Przyczyn tego szukać chyba należy w tym, co miało być wiodącą koncepcją tej adaptacji „Szłacheckiego gniazda”. Problematykę ideową, rozterki duchowe bohaterów, cały klimat moralny tego utworu za pragnął Koncepcji gniazda wyrazić poprzez oddziaływanie pejzażu, otworze nie atmosfery dworów szlacheckich, głównie poprzez eksponowanie wymowy przedmiotów, sprzętów, obrazów w nich zgromadzonych, poprzez szczegóły obyczajowy. Opierało się na te obrazy życia szlacheckiej Rosji wkomponować Koncepcji gniazda ludzi, bohaterowie grają w filmie niemal rolę rekwizytów. Istnieją na tych samych prawach, znaczą nie tyle jako charaktery, ile jako symbole.

W bardzo pięknych, często wizjach plastycznych tego filmu dominują, o czym była już mowa, pejzaże i chłaboły się powiedzie — martwe natury, tych ostatnich jednak człowiek nigdy elementem być nie może. Dlatego też dla pełności tej wizji zabrakło portretu przemawiającego autentyzmem myśli i przeżyć wewnętrznych. Jeśli gdzieś się tego dopatrzmy, to chyba wyłącznie w postaci Lizy (dobra rola

debiutantki Iriny Kupeczenko); Warszawa (Beata Tyszkiewicz) jest też już tylko symbolem.

Wiodącą postacią utworu Turgieniewa — Lawrecki — jest w filmie Koncepcji gniazda, przy pełnym rozumieniu intencji reżysera, zupełną pomyłką, a przyczyną tego jest w głównej mierze bardzo niedobre aktorstwo Leonida Kulagina. A przecież i u Koncepcji gniazda Lawrecki miał znaczyć. Spośród znaczeń wielu wybierzmy choćby tylko ową dwudziestowieczną „niezgodność” czy dwudziestowieczną „alienację”.

W częstokroć pięknym plastycznie „Szłacheckim gnieździe”, w ambitnych reżyserskich i operatorskich zamysłach rzadko może równie często banal chwyty stylistycznych i montażowych jak i leniwą, nieznośną rytym dramaturgii, ale nade wszystko owo zagubienie wśród przedmiotów i pejzaży, psychologicznych i filozoficznych rozważań wielkiego klasika rosyjskiej literatury, który uwagę swą koncentrował jednak głównie na człowieku.

„PANNA Z DZIECMI” Franciszka Filipa jest komedią dość dziwną, choć właściwie typową dla czechosłowackiej kinematografii, która o problemach bardzo poważnych od lat już mówi właśnie w komediach. Film ten nie do równuje wielu swym poprzednikom, niemniej godny jest odnotowania.

Wydobywając pewne niedoskonałości i niedopowiedzenia ustaw sądowych, realizatorzy filmem tym zwrócili się nie tyle do mądrych prawników, z którymi rozmawiać trzeba innym prze-

cież językiem, ile do szerokiej rzeszy społeczeństwa. Ludzie lubią, gdy się ich bawi, a przy tym wyśmieszają i oczu, gdy pozwala się wierzyć, że mi mo wszystko są dobre, że smutki mają swe dobre zakończenia.

By rzecz uczynić bardziej prawdziwopodobną, całą historię urzędniczej sądownej, która porywa zaniedbane przez rodziców dzieci i otacza je najczulszą opieką, rozegrał realizatorzy trochę przewrotnie, w baśniowej atmosferze.

Rzadko w życiu się zdarza, by tak łatwo spotykali się ludzie tak dobrzy, jak bohaterowie tego filmu — panna Zdenka, jej ojciec, sędzia Smolik, jego siostra i wielu, wielu innych.

Nie opowiedziano też tej historii w tonie tragicznym, jak mógł to sugerować problem. Film jest w końcu komedią — zabawną, szlachetną w intencjach niesienia pomocy dzieciom, ale i naiwną. W tej naiwności kryje się jednak znajomość ludzi, iły zawsze mają moc oczyszczania, kryje się podstęp realizatorów. Dzięki komediowemu tonowi tej opowieści, dzięki temu, że szlachetna i naiwna bohaterka, będąc oskarżoną, może w swej naiwności wypowiadać sądy o prawach, regulujących życie społeczeństw w tonie tak mocnym, iż sądzić trzeba, że nie wypowiedziano by ich w filmie, będącym dramatem.

Serdeczna troska o sprawę, ciepło, jakim obdarzono postacie filmu, wiele serdecznego humoru oraz aktorstwo znakomitej Iriny Bohdalovej, Jozefa Kemra i innych to duże atuty tego filmu.

E.W.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

OBRAZ O DŁUGOŚCI 150 METRÓW

„Wykonałem niewątpliwie największy obraz w Europie” — mówi o swym dziele wystawionym obecnie w Grenoble, Jean Dewasne. Obraz jest kompozycją barwnych układów geometrycznych. Jego powierzchnia wynosi 1200 m kw., waga — ponad 300 kg.



Ten gigantyczny obraz został namalowany specjalnie, aby ozdobić ściany jednej z sal muzeum w Grenoble. Sala zaś ma 80 metrów długości i wysoka jest na 15 metrów. Ołóż salę tę, dawniej należąca do miejskiej biblioteki, dyrektor muzeum postanowił przemalować na swój eksperyment artystyczny. Co roku zwracał się do któregoś z malarzy, aby przyczynił się do ozdoby muzeum. Dyrektor pokrywał przy tym koszty wykonania, samo jednak dzieło pozostawało własnością artysty. Po roku malarz zabiera swój obraz, a na to miejsce zostaje umieszczony dzieło któregoś z kolegów artystów. Dewasne jako pierwszy namalował i wystawił w owej sali swoje dzieło. Aby je wykonać musiał korzystać z pomocy trzech ludzi. Obraz został namalowany na folii z winylu. Malarz ograniczył się do użycia tylko 9 barw, ale tak zestawionych, że wydaje się, iż odcieni barwnych są tysiące.

Już teraz artysta zastanawia się co zrobi ze swym dziełem po roku, gdy obraz zostanie mu zwrócony. Gdzie umieścić tak wielkie malowidło? Spodziewa się, że znajdzie gdzieś równie dużą salę, w której pomieści obraz.

SUE ZNOWU CZYTANY

„Samo przez się zrozumiałe, że dziś nikt już nie czyta Sue” — pisał w roku 1945 węgierski filozof G. Lukács w jednym ze swych artykułów na temat historii estetyki. Obecnie, po 25 latach nie mógłby już tak napisać. Sue znowu znajduje swych wiernych czytelników. Jedną z zachodniowojennych firm wydawniczych rzuciła na rynek księgarni, w nowym tłumaczeniu „Tajemnice Paryża” i spodziewa się nie bezpodstawnie, że książka zostanie szybko rozprzedana.

W ogóle ostatnio obserwujemy nawrót czytelników do dawno zapomnianych lektur, zwłaszcza przygodowych czy awanturnych. Eugene Sue (1804-1857) syn zamożnego lekarza wojskowego, chrześniak cesarowej Józefiny, zamieszkał z początku kontynuować zawód ojca. Toteż po studiach medycznych przez kilka lat pracuje w ambulanse wojskowym. Potem rzuca wojsko i poświęca się wyłącznie literaturze. Pisze kilka powieści marynistycznych i kilka innych o tematyce z życia tzw. wyższych sfer. Nie zdobywa jednak większej popularności. W roku 1842 przystępuje do pracy nad wielotomowym dziełem, które jeszcze w trakcie pisania przynosi mu ogromny sukces i rozgłos. Bowiem Sue drukuje swą powieść po kawalku, w odcinkach w „Journal des Debats”. To Sue wynalazł ten sposób publikacji nie ukończonej jeszcze książki. Pismo, w którym ukazywała się „Tajemnica Paryża” jest po prostu rozchwytywane. Cały Paryż i nie tylko Paryż, wszyscy czytają powieść Sue. Na prowincji ludzie schodzą się z odległych nierzadko pod szkołę oczekując niecierpliwie pojawienia się listonosza z „Journal des Debats”, po czym nauczyciel, wśród ogólnego skupienia czyta najświeższy odcinek „Tajemnicy”. Dzieło to nie

jest bynajmniej arcydziełem literatury. Niedbali tu nierzadko styl, niezbyt zgrabne wiązanie wątków intrygi, naspikowanie powieści epizodami grozy, naiwność w traktowaniu zagadnień, nieznośny sentymentalizm — wszystko to bynajmniej nie zaszkodziło popularności dzieła. Autor odznaczał się bowiem niezwykłą pomysłowością w dramatyzowaniu najprostszyc sytuacji, po raz pierwszy w historii literatury przedstawił wielkie miasto jako dzunglę, gdzie ścierają się dzikie popędy i namętności, a co najważniejsze pierwszy jako powieściopisarz przedstawił nędzę i niedolę dołów społecznych. Przeciwnie biednych bogatym, wzywał o litość i zrozumienie dla tych, których nędza zepchnęła do świata przestępczego, więzień i szpitali. Z żarliwością bronił biednych i nieszczęśliwych, wołał o pomoc dla chorych. Jego powieść była krytyką i oskarżeniem stosunków społecznych. Toteż po rewolucji 1848 roku stu trzydziestu



Eugene Sue

tysiącami głosów robotniczych został wybrany do Zgromadzenia Narodowego.

Nigdy już żadne z dzieł Sue nie osiągnęło tak wielkiego powodzenia jak „Tajemnica Paryża”. Znalazł też rychło naśladowców. Jeszcze ukazywały się ostatnie odcinki jego słyn

nej powieści, gdy zaczęły się spisać książki innych autorów o tajemnicach wielkich miast: Rzymu, potem Londynu, Berlina, Marsylii, Pragi, Hamburga...

Sue wywarł wpływ na myśl społeczną zwłaszcza utopistów. Ślady lektury powieści Sue wyraźnie widać w „Nędznikach” Wiktora Hugo.

Sue nie wysuwał żadnego programu społecznej naprawy, odwoływał się do miłosierdzia. Toteż Karol Marks w „Świętej Rodzinie” skrytykował naiwne apele Sue o litość. Autor „Kapitału” rozprawił się w słowach pełnych ironii z burżuazyjną moralnością bohatera „Tajemnicy Paryża”, Rudolfa.

X ROCZNICA BALETU BEJARTA

W brukselskim Theatre de la Monnaie odbyła się niedawno uroczystość obchodu X rocznicy powstania „Baletu XX wieku” Maurice Bejarta. Znakomity choreograf (znany o dziwo z występów jego baletu w maju br.) w otoczeniu członków swego zespołu otrzymał od reżyserskiego zespołu publiczności obfity bukiet kwiatów w formie tortu urodzinowego. Bejart zaś oświadczył, że w przyszłości chciałby zająć się nie baletem, lecz muzyką (ogłosił, że w Łodzi pod nazwą „Czyż to jest śmierć?” opartą na utworze muzycznym Ryszarda Straussa „Vier letzte Lieder” (Cztery ostatnie pieśni). Cztery melodie — cztery ukochane kobiety, o których rozmyśla umierający człowiek.

Bejart jest jak zawsze pełen pomysłów i eksperymentów, co budzi pewien niepokój w Paryżu, gdzie choreograf jest od niedawna dyrektorem baletu Opery Paryskiej. Wprawdzie do jego zadań należy tylko konsultowanie baletu, prowadzonego przez pierwszą kobietę-baletmistrza Claude Besy (o czym pisaaliśmy), ale czy w ogóle będzie miał na to czas? Bejart twierdzi, że przecież z Brukseli do Paryża nie jest już dziś daleko, ale paryżanie wiedzą, że „Balet dwudziestego wieku” podróżuje niemal bez przerwy po całym świecie. Po występach w Kanadzie Bejart wybiera się z baletem do Nowego Jorku, potem do Jugosławii, następnie do Włoch.

MAURICE CHEVALIER

Gwiazda tego piosenkarza blizszy ciągle choć Chevallier ma już 83 lata. Ostatnio udał się do Stanów Zjednoczonych gdzie obecnie zostały wydane jego piosenki w tłumaczeniu na angielski pt. „I remember it well” (Przy pominam sobie dobrze). Jest to tytuł piosenki śpiewanej przez Chevalliera w filmie pt. „Gigi”.

MURTUZ ALI MAGOMEDOW

W roku 1960 trzydziestu młodych grafików przybyłych z różnych stron Rosyjskiej FSRR przebywało dwa miesiące na twórczym seminarium w małej miejscowości pod Moskwą. Wśród prac wystawionych na zakończenie pobytu, na specjalną uwagę zasłużył m. in. dzieło dwudziestoletniego dagestańczyka Murtuza Ali Magomedowa. Murtuz Ali Magomedow urodził się w roku 1941 w osadzie górskiej na Kaukazie, w aule Chuty. Rysował od dziecka, toteż w szkole w Dagestanie, a następnie kształcił się dalej plastycznie w Iwanowie.

Czym wyróżnia się jego grafika? Przede wszystkim oryginalnością i zaskakującym ujęciem tematu, świeżością i bezpośredniością artystycznego wyrazu. Mimo pewnych braków do-

wiedzenia twórczego są to dzieła wybitnego talentu. Niemalże wpływ na twórczość Murtuza wywarły stare i bogate tradycje sztuki tkackiej i garncarstwa kulturowane przez wieki w tej gorzkiej krainie. Wytwory te zdobią największe muzea świata.

Murtuz Ali Magomedow uprawia najchętniej linorytnictwo, a jego dzieła dziś wystawiane są w Moskwie, Leningradzie, w Machaczce. W ostatnich czterech latach wykonał on dziesiątki dzieł graficznych, czarno-białych i kolorowych. Śledząc rozwój talentu Murtuza nie trudno zauważyć, że kompozycja jego grafik staje się bardziej skomplikowana, i równocześnie bardziej eksperymentalna. Prócz przedmiotów będących elementami graficznych dzieł pojawiła się ostatnio bogata ornamentyka oparta na tradycjach wzorach ludowych Kaukazu. Jego linorytów choć w zasadzie skomponowane płasko, dekoracyjnie robią jednak wrażenie perspektywicznego rozmieszczenia przedmiotów i postaci ponieważ artysta w mistrzowski sposób operuje ich różnymi wielkościami i symetrycznym lub asymetrycznym układem na płaszczyźnie obrazu. Ułubionym tematem twórczym Murtuza Ali Magomedowa jest jego rodzinny Dagestan. Toteż w swym dorobku artysty ma m. in. całe serie linorytów: „Dagestan w przeszłości”, „Życie Dagestanu”, „Nowy Dagestan”, „Epos Dagestanu”.

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI			
„Orfeusz w piekle”	1	1100	90
„Srebrny dwór”	1	700	60
„Faust”	1	700	60
„Cyrułk sewelski”	1	913	72
„Kniaź Igor”	1	1200	100
„Krośna Śnieżka”	1	1200	100
NOWY			
„Janosik”	5	1300	40
„Dziś do ciebie przyjdę”	1	700	100
„Zemsta”	2	1000	70
MALA SALA			
„Teoria Einsteina”	5	750	75
„Rodeo”	1	200	100
POWSZECHNI			
„Lizystrata”	2	1320	100
„Profesja pani Warren”	2	1320	100
JARACZA			
„Jezor Bulczow”	2	1025	100
„Wszystko w osrodku”	1	514	100
7.15			
„Żołnierz królowej Madagaskaru”	3	1140	91
OPERA			
„Miloś szefka”	7	6723	72
FILHARMONIA			
koncert symfoniczny	1	720	100



PONIEDZIAŁKI
Z ŁÓDKĄ
W HERBIE

DOBRY POMYSŁ! — LEKCJA WYCHOWANIA OBYWATELSKIEGO — MIESZKANIE I STATYSTYKA — DZIESIĄTKI SZKÓŁ I PRZEDSZKÓŁ — GOSPODARSKA RELACJA OJCA MIASTA — MILIARDY DLA ŁÓDZI.

Towarzystwo Przyjaciół Łodzi nigdy — od początków swego istnienia — nie narzekało na brak dobrych pomysłów. Tak i tym razem wystartowano do cyklicznego programu „Poniedziałki z Łódką w herbie” od razu zdobywając uznanie, popularność i aplauz łódzian.

Pierwsze spotkanie z tego cyklu zgromadziło w sali Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki tłumy słuchaczy — było bardzo młodzieżowe, która — jak widziano pilnie notowała w zeszytach. Tego rodzaju impreza to przecież klasyczna „lekcja wychowania obywatelskiego” i „zajęcia fakultatywne” na temat żywności problemów miasta.

Ala też i prelegent był znakomity. Przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, Edward Kaźmierczak nie tylko z urzę-

du zna owe najżywniejsze problemy miasta, lecz także potrafi o nich mówić w sposób nieszablony i zajmujący. Tak więc „ojciec miasta” zainaugurował cotygodniowe „Poniedziałki z Łódką w herbie” i była to impreza nad wyraz udana.

Tego rodzaju spotkań nigdy nie jest za wiele. Dobrze jest po prostu pewne fakty, które wydają się oczywiste, przypominać nie raz i nie dwa, aby uświadomić sobie, ile od owego zerowego punktu startu w 1945 roku Łódź osiągnęła. A może raczej ile osiągnęły naszym wspólnym wysiłkiem w ciągu tego czterdziestu lat. I jakie perspektywy rozwoju rysują się przed Łodzią w latach następnych.

To dobrze, że przewodniczący Edward Kaźmierczak w swej wszechstronnej relacji przypomniał, iż

plan wzrostu łódzkiego przemysłu wyraża się wskaźnikiem 48 procent w ciągu najbliższych pięciu lat. Modernizacja i rekonstrukcja przemysłu włókienniczego — te dwa hasła, dwa naczelnne zadania oznaczają dla przemysłowej Łodzi nową szansę, nowe oblicze.

Albo inny problem — mieszkanie. Dyskutuje się ostatnio nad tymi sprawami dość sporo i często dość karkołomnie. Myślę, że dobrze zabrzmią statystyczny „aneks” przewodniczącego do rozważań o budownictwie mieszkaniowym.

Bo oto zważywszy... W ciągu pierwszych 10 lat Polskiej Ludowej zbudowano w Łodzi 28 tysięcy izb. Następnie dziesięć lat — już 133 tysiące izb, a plan na najbliższe lata zamknąć się liczbą 116 tysięcy izb. Razem blisko 300 tysięcy izb dla tysięcy rodzin — rzecz tak przecież istotna w mieście dynamicznego rozwoju.

Na sali w czasie spotkania z „Łódką w herbie” było wiele młodzieży. To przecież do wyobraźni tych młodych z czerwonymi, niebieskimi i zielonymi tarczami na rękawach przemawiają słowa gospodarza miasta, gdy mówi o szkolnictwie. O tym, że zbudowano w Łodzi 139 obiektów szkolnych, że ta baza pozwoliła wprowadzić

powszechność nauczania na poziomie średnim. Ale są i inne „młodzieżowe” sprawy. Łódź legitymuje się najwyższym w kraju wskaźnikiem miejsc w przedszkolach. Warunki pracy szkół wyższych, w których aktualnie studiuje 23 tysiące młodzieży, ulegają stałej poprawie — rosną nowe, piękne gmachy dla Politechniki, Akademii Medycznej, Uniwersytetu, zmieniło swe oblicze osiedle studenckie na Bystrzyckiej — stało się prawdziwym akademickim miasteczkiem.

I wreszcie miliardy złotych przeznaczonych na gospodarkę w Łodzi. Ten wzrost od 14 miliardów w pięćdziesiątce poprzedniej do 25 miliardów w najbliższej. Wiem, że to astronomiczne cyfry i nieraz trudno sobie uświadomić ich ogrom, ich cel. Ale w gospodarskiej relacji przewodniczącego Edwarda Kaźmierczaka jakoś się nam materializowały w realnych planach owe abstrakcyjne miliardy. Bo oto sulejowska inwestycja wodna, która każdemu mieszkańcowi Łodzi zwiększy „przysiężny” wody o dziesiątki litrów, bo oto zmiana układu komunikacyjnego, który tyle kilometrów przysparza łódzianom, rozbudowa ośrodka akademickiego, unowocześnienie przemysłu — co oznacza,

że będzie się nam lepiej i wydajniej pracować.

Znakomita była ta „lekcja wychowania obywatelskiego”, na jaką zaprosiło nas wszystkich Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Znakomity to pomysł „Poniedziałków z Łódką w herbie” — spotkanie z ludźmi, którzy najlepiej, bo najkompletniej mogą mówić łódzianom o żywności problemach miasta.

Bo przecież sprawy Łodzi bliskie są sercom mieszkańców tego miasta. Zarówno osiągnięcia jak trudności i kłopoty są naszą wspólną własnością — naszym wspólnym powodem do dumy i naszą wspólną troską. Na potwierdzenie tej prawdy nie trzeba gromkich słów — wystarczy spojrzeć na tłumy łódzian, którzy przysypali na spotkanie z gospodarzem miasta.

JERZY WILMAŃSKI

SPROSTOWANIE

W moim felietonie pt. „Papierowy problem” z winy korekty „Odgłosów” znalazł się przykry błąd zmieniający w sposób zasadniczy sens wypowiedzi. Odpowiednie zdanie winno brzmieć: „można by użyć dodatkowo 2,5-3,5 miliona dolarów” a nie jak podało „...od pół do półtora miliona dolarów.”

J.W.

Bez strachu LZY DYREKTORA

Weźmie zacząłem naukę i weźmie zacząłem pracę — wielu miałem nad sobą dobrych i złych, łagodnych i srogich nauczycieli, kierowników, naczelników, prezesów i dyrektorów. Godny byłby to i im ponużący widok, gdyby do prowadzić do zgromadzenia tych wszystkich, którzy mnie nauczali, tych wszystkich, którzy mną kierowali. Zazwyczaj widziałem i, wspominałem tych ludzi w świetle potęg, majestatu i mocy, a przecież zdarzało mi się ich widywać w sytuacjach, w których tracił grunt pod nogami... Oto zubażył naczelnik daremnie pragnie zdobyć trzydziestą zlotych, wynędniał dyrektor prosi o protekcję w sprawie zdobycia nowej osady, zagubiony nauczyciel prosi o naukę, o radę. Ich moc i mądrość ustawicznie pulsują, nadymają się i opadają, rosną i maleją. Ułubionym te przysięgi, że w okresach upadku trzymają się najczęściej godnie, najczystszej godnie, niż w dobie wznieślenia. Byli podwładni, byli uczeni musi być czułym psychologiem, musi zdobyć się na takt i przeczność. Bo oto spotyka byle go dyrektora — zatem czy zaprosi go na koniak, czy na obiad? Wszystko może być poczytane za aluzję, za uszczypliwość. Albo czy mówić mu „Panie Dyrektorze” (kpinal), czy też po mijać dawny stopień (lekceważenie). Byli dyrektor to człowiek poranny — ale jakże leczyć jego ranę, kiedy wstyd o niej mówić. A może naciskać czapkę przez szybę mimo byle dyrektora. Dyrektor umiera, dyrektor się rodu, wiecznie toczy się kołowrót bytu... Czy ów dyrektor czuje się jeszcze dyrektorem — jaki jest świat wewnętrzny byłego dyrektora? Nie mówcie mi, że to mało ważne, dyrektor patrzy na was, ale jednocześnie dogląda was aktualny dyrektor — którego z nich bardziej miłujecie, wobec którego jesteście wierni? Czy mogą być w tej sprawie dwie miłości, dwie wierności, dwie lojalności? Może powiecie, że dzieło włoś na czworo, że zbytnio komplikuje sprawę. Pamiętajcie, że dyrektor doznawał rozkoszy władzy, a podwładny nie najmniej rozkoszy posłuszeństwa. Ze dwie te rozkosze trzeba teraz aktualnie, należyście ułożyć, uplaśować, a jednocześnie osłonić godność byłego dyrektora oraz własną. Zwykle, gdy idę ulicą i naprzeciw ciągnie był dyrektor — dostrzegam, jak zadziera on głowę, jak stapa sprężysto. Tak, jakby oczekiwał ataku, sądził kawał ryjskiej. „Biada zwycięzcom” myśli wtedy był dyrektor i sposobi się do obrony. A ja przecież wcale nie zamierzam go ugodzić. Jestem wyrozumiały, życzliwy, taktowny, tkliwy wreszcie. Idziemy z tym dyrektorem przez zielony park, czerwony, kaskadowy i klonowy. „Patrz, dyrektorze, tak prze miną wszelkie blaski świata, jak przeminęła zieleni, jak minęło cesarstwo rzymskie, jak padło imperium tureckie, jak zgasła gwiazda napoleonidów...” Ślady my na lawie, na wlosy spadają nam umarłe liście. Dyrektor opiera głowę na moim ramieniu i płacze. „Ach, panie Dyrektorze, co pan poleci w kwestii tych leży?”

BERNARD SZTAJNERT

Zbrodnia

W

„Eldorado”

Callaghan siedział w barze i czekał. O godzinie 15 weszła piękna kobieta z białą gardenią w butonierce zakietu. Detektyw wyszedł naprzeciw i zapytał: — Czy panna Merival?

— Tak — odpowiedziała kobieta drżącym głosem.

— Niech pani się uspokoi. Napijemy się herbaty?

Usiedli przy stoliku w głębi sali. — Pani do mnie telefonowała dziś rano, ale nie znam jeszcze sprawy. Czy to coś poważnego?

— Poważnego? Jestem w strasznej sytuacji! Musi pan mi pomóc! Zapłać każde honorarium.

Detektyw uśmiechnął się. — Słucham. Proszę powiedzieć, co się pani wydarzyło.

— Od pewnego czasu jestem przyjaciółką Johna Gallantry. Czy zna pan to nazwisko?

— Jest to człowiek niezwykle wpływowy w sferach politycznych Anglii. Proszę mówić dalej...

— Byłam jego sekretarką. Miesiąc temu zwolnił mnie z pracy, musiał to uczynić z powodu żądześci swej żony. Lecz spotykaliśmy się dalej, uważając, że by nie wzbudzać podejrzeń tej kobiety, która z nienawiści do mnie już podał sprawę do sądu żądając rozwodu. Petycja nie wymienia nazwiska oskarżonej, ponieważ pani Gallantry nie posiada żadnego dowodu. Wczoraj wieczorem spotkałam się z Johnem w restauracji hotelu „Eldorado”. Na moje nieszczęście został w tym czasie zastrzelony jeden z gości. Zapewne pan o tym słyszał?

— Tak, słyszałem — potwierdził Callaghan.

— Przybyła policja. Chcąc uniknąć skandalu postanowiliśmy przemknąć się służbowym wyjściem. I gdy już prawie nam się to udawało, natknęliśmy się przed garażem na pewnego o-

sobnika... nazywa się Huberton, jest redaktorem działu „czarna kronika” w czasopiśmie „Daily Sentinel”. Zobaczył Johna i poznał go.

— No i co z tego? Huberton na pewno nie ma zamiaru oskarżyć was o zbrodnię.

— To prawda, lecz możemy zostać wmieszani w tę sprawę!

— Tak? — zainteresował się detektyw. — A dlaczego?

— Ponieważ człowiek zamordowany był detektywem, któremu pani Gallantry zlecała siedzenie męża.

— To poważna komplikacja — przyznał Callaghan. — Więc co teraz należałoby zrobić?

Kobieta z trudem otworzyła torebkę, ręce jej drżały. Wyjęła paczkę banknotów i położyła ją przed detektywem. — Trzeba zamknąć usta Hubertonowi! Bez pana pośrednictwa zginiemy oboje. Huberton wie, że popsuły się stosunki między małżeństwem. Jeżeli wyda się, że zamordowany w hotelu człowiek śledził na polecenie pani Gallantry, jej męża, Huberton może powiedzieć, że widział na miejscu zbrodni Johna w towarzystwie jakiejś kobiety. Wiadomo, co będzie dalej, na kogo padnie podejrzenie o zabójstwo...

— Rozumiem. Czy na pewno jednak Gallantry nie zabił tego człowieka?

— Jak pan może stawiać takie pytanie?

— Chcę mieć pewność. Czy pani sądzi, że tysiąc funtów zamknie usta reporterowi?

— Słyszałam, że Huberton za pieniądze zapominałby o wszystkim.

— Dobrze, zobacz, co będę mógł zrobić.

* * *

Nikolls pomocnik Callaghana wszedł do jego biura. Usiadł w fotelu i złożył sprawozdanie z całodziennych poszukiwań. Detektyw nazywał się Gregory, pracował dla Międzynarodowej Agencji, ale nie wywiązywał się należycie ze swych zadań. Na skutek skarg pani Gallantry Agencja zwolniła go z pracy. Wówczas w hotelu „Gregory” przebywał jako osoba prywatna.

— A co robił w „Eldorado”? Coś tu nie pasuje. Czy wyrobieś sobie jakąś opinię w tej sprawie?

— Raczej nie. Zrozumiałe jest, że pani Gallantry nienawidzi Karoliny Merival i szuka dowodu, aby oskarżyć męża o cudzołóstwo. Ale dowiedziałem się czegoś ciekawego: państwo Gallantry jadą do Kanady. Pani pojedzie o dwa dni wcześniej, czyli pojutrze.

— To jest chyba nieroztropne — komentował Callaghan. — Jeżeli Huberton opowie komuś, że widział zakochaną parę w „Eldorado”, policja na pewno się o tym dowie, i...

— Przyszło mi coś na myśl — wtrącił Nikolls. — Może Gregory śledził dalej pana Gallantry

i znalazł jakiś dowód przeciw tym dwójgu... Może zażądał od nich pieniędzy za milczenie? Gallantry nie jest człowiekiem, który by zniósł biernie próby szantażu. Mógł zabić detektywa!

— Może to i prawda. Gregory został zastrzelony w bocznym korytarzu, gdzie prawdopodobnie nikogo nie było. Dziękuję ci za wiadomości, pójdę teraz porozmawiać z Hubertonem. Trzeba mu zamknąć usta, w przeciwnym razie sprawa naszej klientki może być przegrana.

* * *

Huberton stał w barze oparty o lasek. Wypił jednym tchem swoją whisky i zapytał Callaghana: — Czym mogę służyć?

— Już nieraz pragnęłam porozmawiać z panem — zaczął detektyw. — Zna pan wiele osób, bywa pan tu i tam. Możemy sobie być potrzebni w niektórych okolicznościach.

— Na pewno tak — zgodził się dziennikarz, a Callaghan zamówił dwa kieliszki whisky. Potem zapalił papierosa i rzekł od niechcenia: — Pewnie się pan dojrzał dawno wczoraj wieczorem w „Eldorado”?

— Nawet nieźle, a dlaczego?

— Mam coś na myśli w jednej sprawie i moglibyśmy oboje dobrze zarobić. Czy pan nad czymś pracował owego wieczora w „Eldorado”?

— Ja zawsze pracuję — odpowiedział Huberton. — Nigdy nie wiadomo, gdzie może się wydarzyć coś ciekawego. Ale wówczas, jeśli pan chce wiedzieć, wszedłem do „Eldorado” żeby napić się whisky.

— I tak też bywa. No i wieczór okazał się interesujący.

— Raczej tak, a nawet bardzo interesujący dla mnie. Niechący natknąłem się na morderstwo, a to jest szczęście dla redaktora „czarnej kroniki”. Ktoś zabił prywatnego detektywa, niejakiego pana Gregory.

— Dla pana szczęście, dla niego nie!

Huberton roześmiał się. — Niestety! Co za historia!

Callaghan zamówił następne dwa kieliszki.

Huberton ciągnął dalej. — Przybywszy do hotelu udałem się zaraz do baru. Chciałem żeby znajoma kelnerka wymieniła mi czek. Kobieta, idąc z czekiem na górę do biura dowiedziała się o zabójstwie. Mężczyzna został zamordowany w korytarzu za salą balową. Kelnerka wróciła z pieniędzmi dopiero po godzinie.

— I pan tak został sam przy barze przez całą godzinę?

— Niezupełnie sam, była ze mną butelka whisky, która do trzymała mi towarzystwa.

— W każdym razie był pan pierwszym dziennikarzem, który dowiedział się o przestępstwie.

— Tak. I właśnie byłem w trakcie... — Spojrzał spod oka na Callaghana i dodał: — Chyba nie będzie pan nalegał,

abym powiedział to, czego nie chcę powiedzieć?

— Ależ skąd! Nigdy bym tego nie zrobił! — wykrzyknął detektyw. — Napijmy się jeszcze...

* * *

Callaghan stał obok kasy kolejowej i obserwował wchodzących ludzi. Kobieta przekroczy-

ła — rzekł. — Czy mogę coś powiedzieć?

Lekki okrzyk wyrwał się z ust kobiety. — Przestraszył mnie pan — rzekła. — Bardzo się spieszę, musimy odłożyć naszą rozmowę. Jadę tym pociągami.

— O na pewno nie tym, który za chwilę odjeżdża do Liverpool — zaprotestował detektyw.

— Dlaczego nie, panie Callaghan?



lepiej nie jechać tym pociągami.

— Co pan chce powiedzieć? — zapytała kobieta zduszonym głosem.

Callaghan obejrzał się za siebie. Dwóch policjantów w cywilu czekało na jego rozkaz.

Kobieta spojrzała na uśmiechniętego detektywa. Jej oczy błyszczały wściekłością.

— Widzi pani — wyjaśniał Callaghan — początkowo uwiertylem pani słowo, byłem pewny, że mam do czynienia z Karoliną Merival. Nie znalazłem pani Gallantry. Dowiedziałem się jednak, że ta pani wyjeżdża dziś do Kanady, co mi ułatwiło identyfikację. To był dobry pomysł udawać pannę Merival i postępując się moją osobą oskarżyć męża i prawdziwą Karolinę o zamordowanie Gregory'ego.

Dwaj policjanci nie spuszczaali z oka pani Gallantry.

Callaghan ciągnął dalej: — Nie mogłem zrozumieć co robił Gregory w „Eldorado”. Nie znalazłem tam przypadkiem równocześnie z tą parą. Trudno mi było uwierzyć, żeby ich jeszcze śledził, oyl przecież zwolniony z pracy. Potem spotkałem się z Hubertonem. Lecz nie ofiarowałem mu pani pieniędzy, aby milczał o spotkaniu na miejscu zbrodni: pana Gallantry i panny Merival. Bo on ich wcale nie spotkał! Pani chciała abym mu kazał milczeć na temat okoliczności całego dla niego nieznanych!

Kobieta milczała.

— Domysliłem się wszystkiego. Pani zwolniła Gregory'ego, ponieważ odmówił dostarczenia fałszywych dowodów, nie chciał krzywdzić przed sądem. Po zwolnieniu postanowił się zemścić. Śledził pani męża i miss Merival aż do „Eldorado”. Zadzwoń do pani prosząc o przyście do hotelu. Może obiecał posłuszeństwo? Pani przysłała, Gregory czekał w korytarzu. Powiedział, że kochankowie jedzą obiad na sali pierwszego piętra. Zażądał, aby pani tam poszła, a on odkryje panu Gallantry brudną grę przeciw niemu prowadzoną. Karolina wysmiałaby panią, a mąż... A więc trzeba było przeszkodzić Gregory'emu w wykonaniu planu...

— Ma pan rację — stwierdziła chłodno pani Gallantry. — Jest pan niezwykle inteligentnym człowiekiem. Jakże byłam głupia próbując pana oszukać!

— Tak więc zastrzeliła pani detektywa i uciekła. Nikt pani nie widział. Muszę dodać, że będąc zawsze ostrożnym także i tym razem przed rozmową z Hubertonem skontrolowałem numery banknotów, które od pani otrzymałem. Okazało się, że zostały podjęte z konta pani Gallantry. Wszystko zgadzało się!

— Jak pan myśli, czy mnie powiesz?

— Sądzę, że tak.

Callaghan dał znak. Dwaj policjanci podeszli do kobiety.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

KASZTANY

W połowie października szło się do Łazienek na kasztany. Łódzkie dzieci jechały w tym samym czasie z babciami i dziadkami na Julianów. I tu i tam pokrywał ziemię puszysty kożuch złotych i czerwonych liści, coraz to rozlegało się stuknięcie padających, kołczastej kuli, niektóre z nich pękały, ukazywała się lśniąca, brązowo-ruda skóra, palce pośpiesznie wytłuskiwały owoc z zielonej łupiny, wyłożonej białą watą jak najpiękniejsze jubilerskie puzzle.

Nie można tego było jeść, nie służyło to do niczego. Ale było słuczne. Było najprostszą, dzieciinną, bezinteresowną radością. Było też radością ojców, biegających wraz z dziećmi wokół kasztanowych drzew. Była radością dziadków, pokazujących laskami gdzie szukać, grzebiących tymi laskami w szeleszczącej ściółce.

ce. Kto z nas, od najmłodszego do najstarszego, zdolny jest dzisiaj do tego typu uciechy?

Tacyśmy wszyscy wyrafinowani, wyobcowani, wydziwaczeni, tacy pokrewni, skomplikowani, znerwicowani! Nic już nie jest proste ani zwyczajne. Zrelatywizowano nam wszystkie wartości, zniechęcono do wszystkiego co było i jest. O tym, co będzie myślimy niechętnie i nie bez lęków. Futurologi, którzy mieli za nas wyobrazić sobie i — jak to się kiedyś mówiło — „malować perspektywę”, — nie silą się wcale na tonacje różowe, są pełni niepokojów i troski. W sztuce, we wszystkich jej rodzajach, dominują akcenty graniczące z paranoją. Zatarły się granice pomiędzy rzeczywistością a majaczeniem, kosmate widziały szczerzą gęby spoza każdego słowa, nikt nie jest nikim, nie się za nic nie liczy, nie da poznać, rozumiem, porównać, ośwoić. Piękność stała się kategorią wstydlivą jak niewczesny rumieniec, turpiści uznali ją za banalną, głupią sztamę, wywlekli swoje rekwizyty — ścierki, druty, wrzody, rymszoki, z teatru wyrzucono człowieka coś tam przeżywającego, zastąpiono go rzedem pustych krzesel, zgrzytem taśmy z sceny, drzwiami prowadzącymi z pustki w pustkę. Jednocześnie brzmienie zdanie uważamy za szczyt wulgarnego prostactwa, melodyjną piosenkę przepuszczamy przez takie wynaturzone instrumenty, łamiemy jej kości, ciągniemy żyły, wyginamy ją chorobliwie, aż zostaje tzw. nowoczesna interpretacja, której już nie odbiera się słuchem: odbiera się całym roz-

trzęsionym do hysterii splotem nerwów, żelit, mięśni, odruchów.

Dokąd uciec, dokąd wybrać się na kasztany? Teliga rodzi się raz na wiele milionów narodzin, nie wypłyniemy jachtem na wielkie morza, na wielkie morza zatrute ropą, ściekami, radioaktywnym śmieciem. Każdy kawałek trawnika, na który można by popatrzyć jak na resztkę ginącego piękna, popsuje nam jakiś neurastenik wynaturzoną i — oczywiście — „nowoczesną” plastyką, jak te pokrzywione pudła u zbitego Kopernika i Towarowej, jak ni to nagrobki, ni to jarmarczne „lampiony” w parku przy ul. Matejki, jak pordzewiałe, arcybrzydkie konstrukcje z blach i drutów wzdłuż ulicy Wolskiej w Warszawie.

Dokąd pójdziemy na kasztany? Pod kasztanami są to ławki przeniesione tam z alej parkowych przez chuliganów. Tam się pije wstrętne wino i uprawia — nie, nie miłość, nikomu takie głupie słowo nie przychodzi do głowy. Nawet seks już się odczuwa jak patetyczną bujdzę z chrzanem. Tak sobie tylko, dla draki, z żadnej tam potrzeby, żadnej, powiadam. W niektórych krajach już i te ławki stoją puste. Narzeki zażywa się w środku miasta, w biały dzień, na stopniach pomników. Quo vadis, Europo?

W podwórzu pewnego domu przy Piotrkowskiej, z jedyne go stojącego tam drzewa spadł mi pod nogi kasztan. Następnego dnia jeszcze tam leżał...

CWIĘK